

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 23 KWIETNIA 1927 ROKU

NR 17

TREŚĆ NUMERU: W sprawie reformy szkolnictwa żeńskiego — *Dr. J. Młodowska*. Amerykanka i jej dom dla bezdomnych — *M. H. Szpyrkówna*. Romansowy muzykant (dok.) — *Paula Lamowa*. Felicja Kruszevska — *Wanda Borudzka*. Wiersze: „Sugestia chłodu“, „Sen o mrozie“, „Ciepły dzień“ i „Upał“ — *Anna Słonczyńska*. Plantator z Malaty — *J. Conrad*, (c. d.) przekład autoryzowany *Teresy Tatariewiczowej*. Rok 2200 (dok.) — *Wanda Melcer-Rutkowska*. Jak pracują kobiece kluby sportowe w Warszawie — *K. Muszałówna*. Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Z życia muzycznego — *P. Z.* Z teatrów — *S. P. O.* Rytm i plastyka — *Well*. Krynica (dok.) — *Wanda Dobrzańska*. Zmysł organizacyjny w gospodarstwie kuchennym. Gastronomia i gastrotechnika — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Palta — *Well*. Stora tiulowa z inkrustacją szydełkową. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony“ — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.*

Arkusze wzorów.

W SPRAWIE REFORMY SZKOLNICTWA ŻEŃSKIEGO

Mysł o potrzebie reformy szkolnictwa stała się dziś powszechną. Najpoważniejsze czasopisma oddają łamy swoje sprawom wychowania. Wypowiadają się o nich nie tylko pedagogowie, ale działacze społeczni i uczeni teoretycy. Zgoda panuje co do ogólnych wytycznych drogi, jaką reforma wychowania pójść winna. Już nie tylko zbliżenie szkoły do życia, ale przeniknięcie tem życiem szkoły nawskroś, danie możności dziecku i młodzieńcowi wypróbowania swych sił, swych pomysłów i ideałów społecznych, a z drugiej strony — umożliwienie mu wypracowania swej własnej jaźni; duchowej, — oto do czego nawołują reformatorzy. Aktywność i indywidualizacja — to dwa najbardziej aktualne hasła. A jednak, głosząc te hasła, nie możemy zapomnieć, że niema indywidualizacji, nie opartej na szczerem zainteresowaniu jednostki. Indywidualizacja dopiero wtedy jest kompletna, jeśli na zainteresowaniu buduje. Tymczasem mówimy o reformie szkolnej, o reformie wychowania wogóle, nie wyodrębniając wychowania dziewcząt, jako rzeczy różnej od wychowania chłopców.

Nie przeczę, że i wśród dziewcząt są typy intelektualne, lubujące się i umiejące myśleć abstrakcyjnie, uogólniać i dedukować. Ale przeciętny typ dziewczęcia, to typ wrażeniowo-uczuciowy, tak rzadki wśród chłopców, ponad lat 15 liczących. Nawet, jeśli przedmiot zainteresowania obu płci jest ten sam, treść zainteresowania jest różna. Jeśli przedmiotem zainteresowania jest człowiek, to chłopców interesuje on, jako siła fizyczna i umysłowa, jako wartość ekonomiczna

i społeczna, dziewczynę — jego losy i walki, jego wloty i upadki.

Jeśli idzie o sprawę intensywności przeżyć, to chłopiec przeżywa najintensywniej to, przy czem najlepiej odczuwa swoją jaźń, swoją wartość, swoją odrębność od otoczenia. Dziewczyna dla głębi przeżycia potrzebuje zupełnego oddania siebie, aż do utraty swej indywidualnej odrębności. Stąd, w następstwie mężczyzna może jednocześnie być doskonałym szefem w urzędzie, wzorowym ojcem, członkiem społecznym i t. p., kobietę jedna z tych stron życia pochłania niepodzielnie.

Z tych, tak głębokich różnic ustrojowych wypływa różny stosunek obu płci do studjowanych przedmiotów.

Jak rzadkiem jest wśród dziewcząt zamiłowanie do matematyki, tej nauki par excellence abstrakcyjnej, logicznej, na czystym rozumowaniu opartej, do fizyki, ściśle z matematyką związanej, a zarazem potęgę ludzkiego rozumu sławiącej. To są, natomiast, ulubione przedmioty chłopców, a obok nich zagadnienia statystyczno-prawne w historii, dogmatyczne w religji.

Ulubione przedmioty dziewcząt, to literatura — to dzieje i przeżycia dusz poetów, psychologia, antropologia, higiena, nauki pedagogiczne. Zainteresowanie historją, to, przedewszystkiem, zainteresowanie się bohaterem-jednostką. Zawsze, zatem, przedmiotem zainteresowania jest człowiek, jako jednostka czująca, cierpiąca, potrzebująca pomocy i współczucia.

Praca myślowa chłopca, to praca świadoma w każdej chwili, jasna, mogąca się wyrazić słowami, u dziewcząt główną rolę odgrywa intuicyjna podświadoma praca myślowa, stąd dziewczęta więcej potrzebują samotności, stąd ich zamiłowanie do robót, które nie przeszkadzają tej podświadomej pracy, a raczej ją swym rytmem wyzwalają.

Hasłem dnia dzisiejszego kobiety: „Stać się podobną mężczyźnie“. Dlaczego? Czy mamy prawo ubożyć życie? Przecież ono tem jest piękniejsze, im bardziej różnolite są typy ludzkie. Przecież pierwiastek żeńskości wnosi do tego życia takie mnóstwo piękna i wzniosłości, przecież intuicja, ten dar, tak przeważnie kobietom właściwy, to ostatni ślad boskości człowieka, i iskra ostatnia ognia prometeuszowego, przytłumiona materjalizmem całych wieków.

Warunki ekonomiczne życia współczesnego zmuszają kobietę do samodzielnego zarabiania na swoje utrzymanie, a inercja, jej właściwa, każe jej szukać zarobku na tych samych polach, co i mężczyzna, tem więcej, że ustawodawstwo szkolne wszystkich prawie państw, przy tworzeniu nowych typów szkół, jeśli nawet myśli o szkołach odrębnych dla dziewcząt, to różnią się one od szkół męskich raczej tylko ilościowo, to znaczy, dają materiału mniej, traktują go bardziej powierzchownie. Natomiast jakościowo szkoły te nie różnią się niczem od siebie, tak, że szkoła średnia ogólnokształcąca przygotowuje przedewszystkiem do uniwersytetu. Wstępuje tam po ukończeniu gimnazjum chłopiec, wstępuje więc też i dziewczyna, sama dobrze nie wiedząc, po co i dlaczego to czyniła. Motywem dla niej dostatecznym jest, że ukończyła gimnazjum, które daje wstęp do uniwersytetu, (zresztą, pozatem, prawie nic nie daje).

W latach 1902 — 1909, kiedy liczba gimnazjów żeńskich na terenie ziem Polski była bardzo nieznaczna, kiedy wstęp do uniwersytetu prowadził przez trudną maturę eksternistki przy gimnazjum męskiem, na uniwersytet dostawały się te jednostki, które ciągnęło tam, albo zainteresowanie intelektualne (zdarzające się, jak już wspomniałam, wśród dziewcząt), albo jasno wytknięty cel oddania się całej, czy to na usługi cierpiącej ludzkości, jako lekarz, czy też oświacie, jako nauczycielka. W miarę wzrostu liczby gimnazjów żeńskich, w miarę, jak snobizm społeczeństwa czynił naukę w zakładach tego typu dla dziewcząt pewnej sfery modną i nieodzowną, w salach uniwersyteckich znalazły się tłumy dziewcząt, niby zbłąkanych owiec, nie wiedzących, poco się tu znalazły, czego tu szukają, co im wiedza uniwersytecka dać może.

Prawda, to samo można powiedzieć i o młodzieży uniwersyteckiej męskiej, również i wśród niej można znaleźć takich, którzy nie wiedzą, co ich do uniwersytetu pociągnęło, bo nie żądza wiedzy — to pewne. Ale chłopiec, dla którego, ani wiedza, ani późniejsze, dzięki niej zdobyte, stanowisko nie jest celem, a tylko środkiem do rozwoju własnej osobowości, prędko odzyskuje równowagę. Dziewczyna, szukająca wciąż tej otchłani, w której mogłaby utonąć, oddać całą siebie, zatracić siebie dla kogoś, czy czegoś, pozostaje dezorientowana, lub schodzi na manowce, pomnażając i tak już liczne zastępy wykołajeńców losu,

To też potrzeba zróżniczkowania szkół, potrzeba stworzenia odrębnego typu szkoły żeńskiej, różnej nie ilościowo, a jakościowo od szkół męskich, odpowiadającej odrębnej psychice żeńskiej, jest dziś nieodzowna. Niech zostaną gimnazja dla tych nielicznych, których zainteresowania intelektualne pociągają do zdobywania wiedzy wyższej, lub które pragną poświęcić się zawodom, wiedzy uniwersyteckiej wymagającym. Również nie tracą swej racji bytu różne typy szkół zawodowych, istniejące obecnie. Ale obok nich niech powstaną szkoły żeńskie, duchowi kobiecemu odpowiednie.

A oto jak sobie taką szkołę wyobrażam:

Jako podbudowę uważam zawsze 7-io klasową szkołę powszechną, która, pomimo, że obecnie stało się modnem narzekanie na nią, daje daleko pełniejszy całokształt wiedzy elementarnej, niż 4 pierwsze klasy gimnazjum.

Dziewczęta kończą 7-ą klasę przeciętnie w 14-ym roku życia, a więc w okresie dojrzewania płciowego, kiedy to dziewczyna staje się umysłowo ociężała, osłabiona, ma dużą tendencję do przeczulenia, pesymizmu. Mądra wychowawczyni stara się wtedy oderwać jej myśli od siebie samej, od własnych przeżyć i urojonych nieszczęść i dać jej zajęcie nietrudne umysłowo, a jednak dające jej poznać własną użyteczność, pochłaniające ją. Takim zajęciem w domu będzie przedewszystkiem gospodarstwo, to też wyobrażam sobie, że 1 i 2 klasa szkoły średniej żeńskiej nosić powinny charakter szkoły gospodarczej. Program tych dwóch klas obejmowałby przedmioty teoretyczne i praktyczne. Z przedmiotów teoretycznych uczyłyby się powinny religii, z polskiego — literatury, uwzględniając przedewszystkiem wiek XIX i XX. Duży nacisk położycyby należało na głośne czytanie, na wyrobienie dykcji, rozumienie idei przewodniej czytanej książki, na zrozumienie, wreszcie, roli książki, jako przewodnika życiowego i doradcy.

(d. n.)

Dr. J. Młodowska.



M. H. SZPYRKÓWNA

AMERYKANKA I JEJ DOM DLA BEZDOMNYCH

Po żalonych rozważaniach poprzednich, jak to mieszka kobieta zarobkująca u nas, przyjrzyjmy się krajowi postępowych udogodnień — Ameryce. Dobrze jest bodaj przyrzeć się czemuś, co, narazie, dla nas jest niedostępne, bo jednak — z zazdrości rodzi się chęć posiadania... A nuż, jakieś istniejące u nas stowarzyszenie kobiece weźmie na kiel i pobuduje na Żoliborzu, czy Staszycówce wymarzony przybytek, z napisem: Pierwsza wspólnota mieszkaniowa Koła Polek? Albo — Młodych Ziemianek?... Albo — Związku stenografistek, jeżeli takowy istnieje?... Okiem ducha już widzę szeregi kandydatek, czekających na śmierć, albo na zamążpójście szczęśliwszych od siebie lokatorów, i szeregi stowarzyszeń, budujących takie same wspólnoty. Jubel i triumf! Narazie, wraz z planami Dworca Centralnego i mostu przez Atlantyk, odchodzi to na plan uroczej utopji.

A ta Ameryka ma szeregi podobnych wspólnot. A ta Ameryka ma jakieś swoje chytre amerykańskie sposoby, żeby wszystko, o czym my marzymy, wziąć i zrobić, nie marząc! Skąd owe poszczególnie tak trudne do zdobycia dolary biorą się z pogłębiającą nasze stosunki łatwością en masse? Niewiem! Ale fakt, że im szaleńsze i kosztowniejsze jest zamierzone przedsięwzięcie, tem łatwiej znajduje ochotników. Najlepszym dowodem jest szereg kandydatur do polotu na księżyc projektowanym świeżo pociskiem „międzyplanetarnym“. Naprawdę, w tym narodzie zaklęto jakiś wywar wszechrasowych energii, rozsadzający jednostkę niespożytym rozpedem w każdy z trzech znanych wymiarów. A wobec tego „międzyplanetarnego aparatu“ — widocznie i w czwartym.

Jakże więc urządza sobie życie kobieta zarobkująca w Ameryce?

Przedewszystkiem — nie urządza wcale, i na tem polega olbrzymie odciążenie jej od trudów i trosk powszedniości. Ktoś — urządził już je dla niej. Pomyślały o niej te, które nią niegdyś były same — które się namęczyły, naszukały, naharowały, jak to mówią na kresach. I postanowiły oszczędzić harówki idącej młodszej siostrze: zorganizowały amerykańskie „kluby kobiece“. W ten sposób dzisiejsza pracownica ma już zadanie ułatwione. Wnosi do sumy ogólnej swój prywatny wkład przez należenie do jednego, lub wielu stowarzyszeń kobiecych. Może to być liga — wspólnota mieszkaniowa — stowarzyszenie sportowe — nawet kółko towarzyskie, wszystko jedno. Ale tam należy; płaci składkę, interesuje się jego sprawami i współdziała rozwojowi, oczywiście agitując, wiele może. Idzie o to, aby kobieta była zorganizowana — aby w ten, czy inny sposób jakąś część

swego zarobku bezwzględnie w stały i regularny sposób na dobro ogółu kobiet oddawała. Jeżeli idzie o świadczenia, przez takie „sisterhood“ (siostrzeństwo — odpowiednik do braterstwa) dawane jednostce są nieobliczalnie większe od pobieranych, niskich zawsze, składek, tak że poczucia obowiązku, które wcześniej, czy później zaczyna ciążyć, niema. Przeciwnie: wynika z tej organizacji szereg korzyści, przedewszystkiem zaś — ta, że samotnie zgubiona w olbrzymich milionach ludzkich prowincjałka, lub cudzoziemka, trafia w środowisko przyjazne i obrończe. Nie mamy tu u nas nawet pojęcia o straszliwym osamotnieniu, jakiemu podpada niezorganizowana pracownica tam, gdzie walka o byt żelaznymi zębami miele każdego, kto się przeciwko niej nie opancerzy gromadnie.

Do największych organizacji kobiecych w Ameryce należą bezwzględnie kluby Y. W. C. A. — Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet.

Dlaczego młodych?... Bo klub ogranicza wiek do pewnej kategorii. Celem tego właśnie stowarzyszenia jest umożliwić życie kobietom, wstępującym na drogę zarobkową, czy naukową, czyli młodym dziewczętom, oraz dać im czas do, niejako, dorobienia się. Zabawnie to u nas może brzmieć! A jednak, amerykanka po dziesięciu latach pracy powinna się już dorobić o tyle, aby nie potrzebowała korzystać z pomocy zrzeszeń, gdzie utrzymanie jest nieporównanie tańsze, niż normalnie. Czy dolary amerykańskie mają zaklętą właściwość rozmnażania się? Czy — co pewniejsze, zorganizowano życie tam tak, że oszczędność jest powszechnie możliwą i stosowaną?... Dość, że oszczędza każdy, każda i nawet każde — bo dzieci zawczasu poznają się w krainie dolarów na ich wartości. „Savings-banki“, lansujące książeczki oszczędnościowe od pięćdziesięciu centów wzwyż do milionów, są wywiczzone w reklamie agitacyjnej tak wspaniale, że, istotnie, trudno im się oprzeć, nawet nie będąc praktycznym tubylcem, tylko lekkomyślnikiem z Europy. Co za perspektywy zarobkowe, jakie obliczenia, jakie setki i tysiące, zklepane z miedzianych centów, figurują w prześlicznie ilustrowanych ich książeczkach i listach, zasypujących publiczność! Skąd zdobywają adresy? To Pinkertonowska tajemnica. Dość, że je zdobywają, i że, dosłownie, do dziś otrzymuję osobiście rozmaite fascynujące ogłoszenia amerykańskie, nadsyłane tu, do Warszawy — a, jako żywo, nigdy tam nic nie oszczędzałam, i, niestety!.. nie zaoszczędziłam: taki to już jest nasz słowiański pech! Przez ten sam czas amerykanki poskładały przedziwne sumy — niczego sobie, zdawałoby się, nie odmawiając. Mają to, czego nam brakuje:

liczą skrupulatnie drobiazgi. Nasze przypadkowe lody po drodze, mazagrany na poczekaniu, auto, żeby było prędzej i resztką, — bo taka tania: tam nie istnieją. Amerykanka zarobkująca kupi wszystko, czego chce, ale będzie dobrze wiedziała, jak wiele ujmie z tygodniowej oszczędności. To — bardzo pomaga! Dolar — to duży srebrny grosz, i takich groszy tygodniowa pensja zawiera u pracującej kobiety skąpo: może dwadzieścia, może trzydzieści — czterdziestka dla kobiety, to już cyfra! Wiadomo, że pokój połknie tyle a tyle, powiedzmy 5, że utrzymanie zje, powiedzmy, 12 — że lokomotcja i dzienniki pochłoną trzy. Amerykanka do tych dwudziestu koniecznych i przewidzianych doda, powiedzmy, pięć na drobiazgi — ciastka, lody, czy kino, może dziesięć, ale jest wówczas rozrzutna i pozostałe dziesięć dolarów bezwzględnie kładzie na książeczkę. „Zrobi to“ przez rok jakąś sumę, która przyniesie procenty i zawiezie właścicielkę podczas wakacyj do Kalifornji, albo na modną plażę, albo jej kupi fortepian, albo umebluje jakimś kosztowniejszym sprzętem mieszkanie. Liczę jednak hojnie, po europejsku. Amerykanka mieszka tanio, ubiera się bardzo zbytckownie, w sensie ciągłego zmieniania sukien i kapeluszy, które oblicza na tuziny, wynagradzając jakość ilością — i, mimo to, zawsze ma odłożone pieniądze. Jest to tajemnica narodowa, narówni z zamiłowaniem do „chewing-gums“, dziwnej obrzydliwości, złożonej z proszku do zębów i okiennego kitu, na nasz europejski smak. Ale

tubylcy zauważają się nią z niesamowitą rozkoszą, naplepiając potem ochędożnie lepłą kulkę w miejscach niewidocznych, ale najmniej spodziewanych, jak np. pod siedzeniem w tramwaju i podziemiaku, lub za ramą okienną autobusu. Bardziej wytwornej lokomotcji ta klasa gumożujów zwykle nie używa.

Trzeba jednak liczyć, że kluby obliczone są nie tylko na zarobkujące kobiety, ale i na te, które do pracy samodzielnej się przygotowują. Są tam i początkujące artystki wszelkiego typu — sceniczne, pianistki, śpiewaczki, diseuse'y; są takie, które się uczą rysunku dla ilustracyj, i takie od żurnalów z modami (popularne i dobrze płatne zajęcie.) Są uczennice szkół krawieckich i przyszłe kapeluszkarki, są słuchaczki uniwersytetów i wszelkich szkół zawodowych. Cała ta rzesza, narazie, jest bardzo bezpieniężna, i taki klub, dający przyzwoite pomieszczenie i zdrowe utrzymanie za 6 do 10 (oddzielny pokój) dol. tygodniowo — jest pro prostu błogosławieństwem i jedynem, nieraz, umożliwieniem przyszłej kariery torującej sobie drogę dziewczyny.

Myślę, że za te pieniądze u nas zdołanoby dać dziewczętom tylko coś niezmiernie przygnębiającego ubóstwem i brzydotą. To też tem uważniej proszę przeczytać, rozważyć i podsumować niewiarogodne atuty, jakie, powiedzmy, Y. W. C. A. zapewnia swoim członkom, a czemu poświęcę, z prawdziwym entuzjazmem własnego doświadczenia, artykuł następny.

PAULA LAMOWA

ROMANSOWY MUZYKANT

2



retrospektywne rozpamiętywanie przeszłości i najcięższych warunków życia, o których zapominał wśród dobrych przyjaciół, dało ogromnie smutne refleksje i — jakoby w przecuciu bliskiej śmierci — przybrało żałobnym kirem ostatni rok twórczości Schuberta. Był jednym z licznych potomstwa, którem Opatrzność pobłogosławiła skromnego nauczyciela ludowego; chłopak, obdarzony dzwicznym sopranem, został dzięki temu przyjęty do konwiktu, w którym wychowywano chłopców dla nadwornego chóru. Antonio Salieri, stary już podówczas kapelmistrz dworski, zwrócił uwagę na trzynastoletniego chłopca, który w kompozycji zaznaczył od początku indywidualność i samorzutnie obrał właściwą formę; kiedy, bowiem, dawny współzawodnik Mozarta chciał skierować Schuberta na klasyczne tory — dziecko nowej epoki przyjęło nabyte wiadomości po to tylko, aby tworzyć dzieła, zgodne z duchem

czasu i kierunkiem sztuki, aby do życia powołać nową formę, którą była liryka w muzyce.

Romantyzm uniósł epokę wysoko ponad ziemskie sfery, nie pozwolił jej dotknąć stopami codziennych trosk, odgrodził od realizmu życia krainą nieprawdopodobnych fantastycznych zdarzeń — światem marzeń i baśni, które poezja wprowadziła nawet w djalogi powszednich ludzi. Pieśń Schuberta spotęgowała brzmieniem muzycznym romantyczne nastroje, które tworzyły tło dla nowego stylu, żywą barwą tonów podkreśliła melodję poetyckiego słowa, znaczenie tekstu ogarnęła bogactwem uczuciowej kantyleny, ujętej w ramy wyrazistej rytmiki fortepianowej i dynamicznych efektów na tle nowych zupełnie harmonij i śmiałych modulacyj, i w tem tkwiła siła jej nowej formy i przeciwstawienie romantyzmu klasycznej epoce. Dojrzałość formy i klasycznej koncepcji w pieśni doszła do mistrzostwa w szesnastym roku życia Schuberta, a natchnieniem w jego twórczości były poezje Goethego.

Nad pulsującym żywotnością rytmem fortepianowym, który jest ilustracją dla kołowrotka Małgorzaty, nad żywiołem burzliwych trioli, tworzących niepokojący nastrój dla „króla Olch“ — unosi się cudowna melodia, związana nierozdzielnie z deklamacją słowa, którego liryzm otrzymał najpiękniejszy wyraz w muzyce Schuberta. Młodziutki kompozytor posłał szereg pieśni Goethemu z prośbą o cenę. „Wasza ekscelencjo“ — pisał uniżenie — „ośmielam się posłać waszej ekscelencji moje pieśni z prośbą o kilka słów odpowiedzi, czy mojej muzyce wolno opiewać tekst wielkiej poezji niemieckiej“. Ale król poetów, dumny minister weimarski, nie dał odpowiedzi na listy Schuberta i tylko w notatkach swoich podkreślił datę przysłania pieśni z Wiednia. Tymczasem skromny nauczyciel ludowy chwile, wolne od zajęć głównego życiowego zawodu, poświęcał muzyce i coraz szersze obejmował horyzonty. Obok pieśni pisał z ogromną łatwością okolicznościowe utwory kościelne — symfonje i muzykę kameralną. Jednakże, o ile w pieśni wprowadził Schubert muzykę na nowe tory i stworzył kierunek dla nowej ery, o tyle w innych utworach, obok romantycznej kantyleny i nowej harmonji, pozostał pod wpływem klasyków, nie dorównując im w opanowaniu i doskonałości formy. Ale, mimo, iż pieśni wiedeńskiego romantyka były w muzyce ogromnym postępem, mimo, iż obudziły w niej świat nowych pojęć, nie znalazły zrozumienia w świecie muzycznym.

Wydawcy urągali, że pieśni są zamało efektowne i tonacje zbyt trudne, a jedyny koncert kompozytorski Schuberta pominęła prasa milczeniem. Musiał więc żyć z lichych dochodów wychowawcy, nie chcąc szukać poparcia u arystokracji, która protekcją swoją podkreślała dobitnie różnice stanu. Kiedy, bowiem, Schubert przebywał, jako nauczyciel muzyki, u hrabiny Esterhazy w Zeleszu na Węgrzech, kazano mu jeść w izbie czeladnej: niepoprawny marzyciel, dla którego pieczeń z pańskiego stołu była za dobra, wolał wrócić do Wiednia i z godnością cierpieć nędzę, aniżeli muzę swoją uczynić zależną od pańskich kaprysów. Wszystkimi w życiu byli mu przyjaciele i Schubertiada, wśród których rozwijała się jego twórczość. Dla dyletantów, dla wielbicieli jego talentu pisał Schubert swoje utwory, u nich szukał uznania, którego nie miał u publiczności i prasy, dla nich tworzył romansowe pieśni liryczne, pełne szarpiącej tęsknoty i żalu niewypowiedzianej miłości; tradycji wiedeńskich domów mieszczkańskich muzykę swoją przekazał.

Nie miał w życiu ani jednej romansowej przygody; kochał pierwszą, wielką miłością Teresę Grobównę, towarzyszkę lat dziecięcych, i dla przesłicznego jej so-

pranu pisał muzykę kościelną. Nie wiadomo, czy Teresa kochała Schuberta, to tylko jest pewne, że wolała zaślubić bogatego piekarza, aniżeli dzielić nędzny żywot ubogiego muzykanta.

I kiedy na tle romantycznej epoki Mendelssohn wiódł najszczęśliwszy żywot z Cecylją Jeanrenaud, kiedy sławę Schumanna głosił po świecie fortepian Klary Wieck, a Chopin serce swoje rzucił na pastwę pani Georges Sand — on jeden, pierwszy w tym szeregu romantyków, pozostał samotny. W weselszych dniach życia Schuberta powstały pieśni o motywach ludowych, które nazwał żartobliwie cyklem Pięknej Młynareczki, niekiedy radosne, słoneczne uśmiechy brzmiały w tanecznej muzyce Schubertiady; ale potem samotność skazała go na długie dnie udręki, które stworzyły najsmutniejszy zbiór pieśni „Winterreise“. Ciężką podróżą zimową była dla Schuberta ciernista droga twórczości, zewsząd otaczał ją śnieg i nieprzebyte skały lodowe, ale mimo to pieśń jego ogarnąć chciała całą poezję współczesną, dać w muzyce wyraz jej potęgi i ostatniem tchnieniem sięgała po nowe jej powiewy. Na horyzoncie liryki niemieckiej zjawiała się gwiazda, która blaskiem swoim przyćmiła wszystkich poetów: Henryk Heine wydał pierwszy tom poezyj „Buch der Lieder“. Łabędzi śpiew Schuberta podążył śladem poety, kilku jego pieśniom nadał nowe, dramatyczne prawie ujęcie, które, jako formę, rozwinęli potem: Schumann, Brahms i Hugo Wolff.

Pierwszy romantyk umarł godnie, jak tego wymagała epoka: młodo i na suchoty. Na skromnych klepsydrach było wypisane, że umarł Franciszek Schubert, kompozytor — miał lat 32; potem ostatni raz podążała pogrążona w najbliższym smutku Schubertiada na cmentarz — na Währingu, aby spełnić ostatnie i jedyne życzenie pieśniarza i pochować go koło Beethovena. Zaśpiewano nad grobem Schubertowskie „Pax vobiscum“ — imieniem romantyków Grillpartzer żegnał przyjaciela. Zamilkła nazawsze lutnia Schuberta, a wraz z nią gasły szybko pochodnie wiedeńskiego romantyzmu. Tragiczka Zofja Müller nie zdążyła już wystąpić w „Złotem Runie“ Grillpartzera — zamilkł na wieki srebrzysty śmiech Teresy Krones, która nazwisko swoje złączyła z historją krotchwili Raimunda; w zamierającym tempie walca Fanny Elsler pożegnała światowe uciechy; na ogrodach Schönbrunnu konał, chłopię nieledwie, król rzymski, książę Reichstadtu...

Powoli błękitnieje w muzyce pamięć pierwszego romantyka: wieczór pieśni niemieckiej odda mu naczelną rolę w programie — czasem zespół kameralny przypomni kwartet z motywem „Śmierć i dziewczyna“, albo wesoły Forrellenquintett; na estradzie koncertowej zagrają jeszcze niedokończoną symfonię — może w te-



atrze ilustracją dla sceny w starowiedeńskim stylu będzie uwertura Rosamundy — reszta pójdzie w zapomnienie, jak dawno już umarłe opery romansowego muzykanta. A jednak w Wiedniu, gdzieś za kościołem św. Karola, w ciasnych uliczkach, istnieją stare, szare domy, które, jak żywa, przechowują tradycję dawnej, wiedeńskiej epoki; jeden pokój jest zawsze tak zachowany, jakgdyby nie przeszło nad nim sto lat istnienia. Fortepian stoi na tem samym miejscu, jak wówczas, kiedy grał na nim Schubert, tylko klawisze pozółkły już bardzo — kongresowe wstawki zdobią na tem samym miejscu staroświecką kanapę — ze ścian patrzą, jak żywe, uśmiechnięte kobiece twarzyczki, pędzla Schwinda, i czarne sylwetki Daffingera, w oszklonej mahoniowej serwantce stoją, jak dawniej, nieruchomo figuryнки z wiedeńskiej porcelany —

biedermayerowski zegar z czarnego marmuru bezmyślnie i nieubłaganie wybija godziny, z których każda oddala go od świata starej mody. Pozostała jedna tylko jeszcze żywa postać, związana z tradycją romantycznej epoki.

Na podwórku szarego domu katarynka wygrywa melodie Schuberta: płynie z nich ogromne ukochanie rodzinnego miasta i wiedeńskiego dialektu, który koloraturą jodlerów rozbrzmiewa szerokim echem po ulicach starej dzielnicy — albo w serdecznych słowach ludowej piosenki opiewa serdeczne wyznanie:

„Es gibt nichts über ein Wiener Lied.“

Kataryniarza uczynił Schubert symbolem swojej życiowej, nędznej wędrowki i w bogatym zbiorze poświęcił mu jedną z najpiękniejszych pieśni.



WANDA BORUDZKA

FELICJA KRUSZEWSKA

„PRZEDWIOŚNIE“. „STĄD — DOTĄD“

Felicji Kruszewskiej należy się już coś więcej, niż życzliwe ora et labora ze strony krytyki. Jest to wprawdzie przyznaniem talentu, zawsze jednak z tem zastrzeżeniem, że chodzi on jeszcze na czworakach. Tymczasem obydwom wydanym przez nią zbiorom warto byłoby poświęcić kilka słów rzeczowego rozbioru. A nawet, kto wie, czy nie pierwej wydane „Przedwiośnie“ stanie się kiedyś ciekawsze dla kogoś, co się zajmie badaniem tej twórczości.

Mówiąc to, nie mam wcale na myśli artystycznej wyższości tego wyczerpująco przemilczanego zbioru: Kruszevska nie należy bynajmniej do tych pisarzy, których krok naprzód w czasie nie byłby krokiem naprzód w artyzmie. Ale już w „Przedwiośniu“ mamy kilka wyraźnych kierunków, w których pójdzie autorka i nadal.

Punktem wyjścia — cykl 1-szy — jest, zwykle spotykane na wstępie twórczości, wyjaśnienie postawy wobec Boga, wobec życia — ta się będzie zmieniała najczęściej — i wobec poezji.

Cykl ten zawiera same prawie „większe“ wiersze: zarazem są one prawie zawsze najsłabsze.

Nie, żeby były wygósem uczucia, o którym można powiedzieć, że przez duszę nawylot nie przeszło, ale niema w nich jeszcze tej wyraźnej formy, któraby

była o tyle jedyną, że wykluczałaby możliwość każdej innej. Nie są one jeszcze — monogramem poetyckim. Ale, mimo ten, czy inny osiągnięty rezultat, widzimy wyraźne szukanie słów, ściśle oddających przeżycia. Te ostatnie są mocno napięte i o bardzo szerokim oddechu, to też silnych, rzeczy można — pojemnych — słów poszukuje autorka i odnajduje je już bardzo często.

Dadzą się łatwo wyłowić:

Usłysz mnie, Boże wysoki, jestem czerwonym krzykiem,
i głos mój bije do Ciebie, jak krwi czerwonej strumień.
„Modlitwa“.

Ach nie dajcie, nie dajcie długo czekać tej Pani,
bo o szyby struchlałe bosc stopy swe zrani,
bo po ścianach bielonych krwią się świeżą rozleje.
„Objawienie poezji“.

Takim też — szczęśliwie odnalezionym wyrazem będzie „Dusza tłumy“: jest ona wykończona w budowie, dobrze pomyślana, przemyślana i zwarta.

Nie ideowo może, ale tem właśnie poszukiwaniem jaskrawego, mocnego w kolorze słowa, najbliższej tego cyklu stoi „Czwórka białych koni“. Wiersze te są niewątpliwie ładne, ale to właśnie najbardziej przeszkadza im być dobrmi. Cały ten spory cykl — osiem wierszy — odstręcza łatwością, z jaką jest pisany.

Robi on wrażenie nieoclononego towaru: przeniknął jakoś do świadomości zbyt łatwo i nie został w żadnym miejscu okupiony artystycznym wysiłkiem. Zbyt wielka łatwość tych posunięć słownych nie wzbudza zaufania, wydaje się nam jakby zupełnym pominięciem prawa tarcia—tego naturalnego oporu, który musi przecież czasem myśl postawić słowu.

Przeczytamy te wiersze z przyjemnością — nie ucieszą nas, ani zabolą.

Z innego cyklu wyjęty, ale tą samą zewnętrżnością odczuć związany będzie z nimi „Upiór“.

Wszystkie te wiersze, do typu raczej poszukiwań, niż odnalezień należące, są jeszcze bardzo młode. Nie mam wcale zamiaru przechylić tego pojęcia na stronę „niedojrzałe“. W samym, jednak, natężeniu uczuć, pesymizmu, naprzykład, w „Modlitwach“ mamy typowe przejawienie młodości.

Występuje ona tutaj w rysach bardziej ogólnych, jak to: siła fantazji, bunt, wyobraźnia, nurzanie się w przyrodę, bo jest piękna, wycucie jej właśnie tylko od strony piękna, czy też, ściślej mówiąc, ładności.

W następnych cyklach młodość ta wystąpi w detalu, nie w hurcie, w poszczególnych swoich przejawach. Zmniejszy się też przestrzeń rościągłości psychicznego zdarzenia: dawniej mieliśmy w polu naszego widzenia wyjaśnienie postawy—teraz przeważnie będziemy mieć do czynienia z momentem.

W wierszach tych uderzy w nas przedewszystkiem nadmiar życia, a najczęściej już nadmiar radości. Radości—z tego tylko powodu, że oto się jest, że się żyje, czyli, pozornie — bez żadnego powodu.

Do takich należeć będzie większość z cyklu „Wiersze i poranki“, oraz osobno leżący, jakby samym pędem żywotności odrzucony daleko, „Wiersz na złość szefowi“.

I odrazu — jest to przejście u Kruszeńskiej wyraźne, krok ten stawia bez chwili wahania,—następuje wybór zupełnie innych narzędzi: ilość słów jest zmniejszona, stały się przeto konieczne i ważne. Samym swoim zgęszczeniem dźwiękowym—pierwszy raz tak bardzo uderzy nas ich onomatopeiczność—będą oddawały wagę tych sił i ich napór:

Błękitny poranek, poranek wrześnieowy,
jak wino dziś mocne uderza do głowy.

Ulice, jak wino, gałęzi oplata.
Szaleję z radości! Mam tylko trzy lata

a dalej upojone, nabrzmiewające, zachłyśnięte radością stopniowanie:

Podwójnie, potrójnie, poczwórnie dziś żyję
Błękitny poranek aż do dna wypiję.

Radość ta—wiersz tytułowy możemy do tej samej grupy zaliczyć — jest dziecinna i beztroska. Jest, bo jest. Bo wszystko ją podsyca. Chwilami przyprawia o zawrót głowy, staje się aż dolegliwa:

Troski stają się mitem, nicością
a życie — wiosenną burzą,
co mam zrobić z tą swoją radością,
której czuję prawie za dużo?
Co zrobić — jak wziąć ją w dłonie
i komu ją darować?
Gdy ją dzisiaj tak sama roztrwonię,
czy ci nic nie będzie brakować?

Przejście to jest logiczne, spodziewane i jasne. Łatwo się dało przewidzieć, bo mocno zaznaczony w tym cyklu erotyzm jest również tylko nadmiarem radości. W żadnym miejscu nie zmieni barwy: radość życia i miłość — oba te pojęcia tworzą w niem koło prawie że zamknięte, choć niepodobna byłoby przeprowadzić strzałki w odwrotnym kierunku.

Autorka naświetla tę jedną tylko, radosną, stronę miłości. Znajduje to swój wyraz przedewszystkiem w „Poranku“:

Ziemia mi pod nogami szalona podskoczy
i śmiały wiatr się wedrze w batysty i tiule.
Zaśmieję się, zakrzyknę i cisnę ci w oczy
swoją miłość, jak małą purpurową kulę.

Ten sam nastrój mniej więcej odnajdziemy w „Spacerze we dwoje“, gdzie, jak i w poprzednim wierszu, pogoda znajdzie swój już ciekawy i bardziej osobowy wyraz:

Spojrzymy w dół na rzekę z wysokiego mostu
i pod słodkim działaniem cudownej narkozy
podam ci niespodzianie — zupełnie poprostu
Usta nagle ściemniałe i chłodne od mrozu.

W „Wierszu naiwnym“ zato mamy poraz pierwszy wyraźny zaciek goryczy i zniechęcenia:

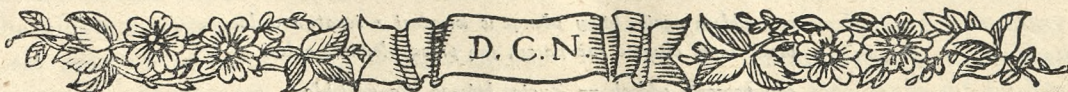
Już dość mam tego deszczu,
który wciąż tłucze o szyby
tego wiecznego „a może“
i jeszcze tego „a gdyby.“

Poraz pierwszy też w tym, nietyle nawet wesołym, co rozradowanym cyklu usłyszymy prośbę, co zabrzmie raczej, jak skarga:

Zabierz ode mnie myśli
ciężkie i takie bolące.

Jest to jednakże zachmurzenie tylko chwilowe: horyzont przetrze się natychmiast, skoro następująca prośba zostanie wysłuchana:

Otwórz mi małą furtkę
do cudownego ogrodu,
gdzie niema deszczu i błota,
gdzie nigdy niema chłodu.



ANNA SŁONCZYŃSKA

SUGESTJA CHŁODU

Zdaje mi się, że mam na sobie tylko jedwab — jedwab cieńszy od cienkich liścia szat —
i że w tym jedwabiu, bosa po kamiennych schodach, sprowadzają mnie w podziemny świat,
że mnie wiodą przez labirynt: przez labirynt długich — szerokich — pełnych przeciągów sal —
i ciałem mych obnażonych stóp całować muszę posadzek gładką, a lśniącą stal,
że mi się każą wciskać plecami — bronionemi lekko jedwabiu okryciem czczem —
w śliskie ściany, które zawsze — albo są marmurem, albo są lustrem, albo są szkłem,
że mnie zarzucają na szyję posągom alabastrowym porozstawianym wkrąg,
i cała treść ich uścisków z alabastru wsiąka w powierzchnię moich ramion i rąk.
że mnie zanurzają po samo czoło w basen nalany mokrą srebrzystością wód,
i że — jak przez dwie suknie — przez jedwab i przez ciało odczuwam do głębi duszy chłód...

SEN O MROZIE

Mróz zastąpił mi drogę — kiedy szłam przez park — dotknąwszy mnie spojrzeniem ostrym, jak miecz.
Przestałam iść, jak zatrzymana ręką, nie śmiałam zrobić kroku naprzód, ani wstecz.
Mróz zaczął mówić do mnie słowa sztwyne, jak metal, słowa suche, jak nadbrzeżny piach.
Przestałam widzieć: jakby mnie uderzono biczem, całe oczy stanęły mi w łzach.
Mróz podniósł mi nad głową ręk swych kolumny, których zamachnięcie się sprawia już ból.
Przestałam się ruszać — związana strachem — nawet łzy mi się ścięły, by kłuć mnie, jak sól.
Mróz spuścił mi na ramiona pięści szorstkości głazów, ciężaru marmurowych brył.
Przestałam czuć: moje serce, jak zdruzgotany zegar, uderzyć nie miało już sił.
Mróz dmuchnął mi na wargi wargami zimnemi: zimniejszymi jeszcze od śmierci warg.
Przestałam być sobą, stałam się posągiem, jedną z wielu rzeźb zaludniających park.

CIEPŁY DZIEŃ

Ciepły Dzień — niby kochające dziecko — wybiega ku nam i, jakby w serdecznej podzięce,
chwyciwszy nas za szyję, pieści — suwając nam po skroniach swe miękkie, aksamitne ręce.
Ciepły Dzień — niby kochające dziecko wtula nas w złoty płaszcz włosów swych, aż wzrok nam przyćmi,
i ledwie dysząc, przez gęstą zasłonę widzimy świat — jak pokreślony złotemi nićmi.
Ciepły Dzień — niby kochające dziecko — zbliża ku nam rumieniec swej rozkwitłej twarzyczki.
i ociera go o naszą twarz tak mocno, aż nam się płonią i rozgrzewają policzki.
Ciepły Dzień — niby kochające dziecko — składa na naszych ustach swój zdrowy pocałunek,
i słodkie gorąco rozlewa się nam po żyłach, jakbyśmy wypili niewinny trunek.

U P A Ł

Ten oddech — taki upalny — który wciąż na nas chucha,
aż skóra staje nam się gruba, i ciemna, i sucha,
czy to jest oddech chorych ust, które śmierć wnet doścignie,
ust spieczonych od gorączki, ust krzyczących w malignie?
czy oddech gotowanej wody, która płynne wary
swojego buntu w twarz nam ciska — wybuchami pary?
czy oddech pustyni zdyszanych, spragnionych kropki rosy,
co owijają nas w piasek — niby w gorące włosy?
czy oddech ognia, który płonąc w wiecznej z światem walce,
przez samą bliskość już parzy, jak przez płomieni palce?
czy poprostu oddech — Życia, którego siła wściekła
wciąga nas w rozkosz i w mękę, jak w dwa doczesne piekła?

J. CONRAD

4

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatarńkiewiczowej

— Nie wygląda na pannę — mruknął Renouard. Redaktor przytaknął. Jest to, zresztą, zrozumiałe, gdyż w Londynie przyjmowała, jako pani domu, najwykwintniejsze towarzystwo, zapewne od chwili, kiedy zaczęła nosić upięte włosy.

Nie wyobrażam sobie, abym odnalazł w niej wdzięk dziewczęcy, gdy będę miał zaszczyt ją poznać. Mieszkają u Dunsterów incognito, jak panujący. Nikogo tem nie wprowadzają w błąd, lecz chcą, aby ich pozostawić w spokoju. Aby dogodzić staremu Dunster'owi, nie wspomnieliśmy nawet o nich w gazecie. Ale wydrukujemy zato o przyjeździe twoim, naszej lokalnej sławy.

— Bój się Bogal

— Tak. Pan G. Renouard, podróżnik, którego niespożyta energia i t. d., i który teraz w swych plantacjach na Malacie w inny sposób pracuje dla pożytku naszego kraju... Ale, ale, powiedz mi przy sposobności, jak ci się udają twoje plantacje jedwabniczych roślin?

— Doskonale.

— Przywiozłeś już włókna?

— Pełen żaglowiec.

— Zapewne, aby je przeładować na statek do Liverpoolu dla próbnej fabrykacji. Wielcy kapitaliści angielscy muszą się interesować temi próbami?

— Rzeczywiście, interesują się niemi.

Zapadło milczenie. Po chwili redaktor rzekł powoli:

— Będziesz kiedyś bogatym człowiekiem.

Twarz Renouard'a nie zdradziła jego poglądu na tę sprawę; nic nie odpowiedział; po chwili przyjaciel jego rzekł tym samym tonem.

— Powinieneś zainteresować Moorsom'a tą sprawą, gdy cię już Willie z nim zapoznał.

— Przecież to filozof!

— Zdaje mi się, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby trochę zarobić. On może mieć spryt do interesów, wynika to ze wszystkiego, co o nim wiemy. Mam wrażenie, że ta stara bestja jest praktyczna: zrobił przecież majątek na swej filozofji — dodał z odzieniem szacunku.

Renouard podniósł na niego oczy i, pohamowany się, nie zerwał się z fotela, lecz podniósł zwolna.

— Może to i niezła myśl — rzekł — w każdym razie pójde do niego z wizytą.

Zdziwił się sam, że mógł te słowa wypowiedzieć głosem tak pewnym i obojętnym, o władnęło nim, bo-

wiem, głębokie wzruszenie, nie mające nic wspólnego z czysto handlową stroną tego projektu. Chodził po pokoju, zbierając się do odejścia, gdy usłyszał nagle cichy śmiech. Odwrócił się szybko ze zmarszczoną brwią, lecz redaktor śmiał się nie z niego. Chichotał, patrząc poprzez wielkie biurko na ścianę; był to, zapewne, wstęp do przemówienia, którego Renouard, oprzytomniawszy, oczekiwał z milczącą podejrzliwością.

— Nie, nie odgadłbyś nigdy i, zresztą, niktby nie odgadł, czego ci ludzie szukają. Gdy Willie przyszedł mi o tem opowiedzieć, oczy, poprostu, wyłaziły mu na wierzch ze zdziwienia.

— Jak zwykle, zresztą — zauważył Renouard z obrzydzeniem. — Idjota!

— Był zdumiony. Zresztą i ja, dowiedziawszy się, o co chodzi, byłem niesłychanie zdziwiony: oni szukają człowieka. Willie, kierując się swem czułem sercem, dopomaga im w tych poszukiwaniach.

— Szukają człowieka — powtórzył Renouard i usiadł nagle, jak gdyby się chciał lepiej przyjrzeć redaktorowi. — Czyżby Willie przychodził do ciebie pożyczyć latarni? — zapytał z ironją i powstał znów bez widocznego powodu.

— Jakiej latarni — zachnął się zaniepokojony redaktor, a twarz jego pokrył cień podejrzliwości. — Ty zawsze robisz aluzje, które są dla mnie niezrozumiałe. Gdybyś się zajmował polityką, ja, jako partyjny dziennikarz, pótybym ci wierzył, dopóki bym cię widział. Jesteś sofistą. A więc posłuchaj: ten człowiek, którego szukają, to narzeczony panny Moorson, z którym była przez rok zaręczona. Nie mógł to być byle kto, ale zdaje się, że nie był bardzo mądry. Ciężki los dla takiej panny.

Opowiadał o tem z przejęciem, widocznie był prawdziwie wzruszony, lecz, jako człowiek światowy i doświadczony, zaznaczał, że go to bawi i dziwi.

— Ten narzeczony, był to młody człowiek z dobrej rodziny, z rozgałęzionymi stosunkami, bywał wszędzie, jednym słowem miał oparcie w obu dużych W.

Renouard, który krążył bez celu po pokoju, odwrócił się i zapytał z cicha: — Cóż to znów, u diabła?

— Wielki Świat i Wielkie Finanse — objaśnił go redaktor. — Tak ja to nazwałem. Są trzy duże R. u podstaw społecznego gmachu i dwa duże W u szczytu. Rozumiesz?

— Ha! ha! to znakomite! Ha! ha! — Renouard śmiał się, lecz wzrok miał kamienny.

— W teraźniejszych demokratycznych czasach przechodzi się z łatwością od podstaw do szczytu, —

ciągnął dalej redaktor z niezamąconem zadowoleniem, — ale tylko o tyle, o ile się jest mądrym, lecz nie zanadto, bo to jest też niebezpieczne. Zdaje mi się, że w tem leży przyczyna wypadku, o którym mowa. Młodzieniec wplątał się w kabałę najgorszego gatunku, bo finansową. Willie nie bawił się ze mną w szczegóły, których nie udzielono mu w obfitości, w każdym razie była to nieczysta sprawa, pachnąca kryminałem, narzeczony był, naturalnie, zupełnie niewinny, ale musiał wyjechać.

— Ha! ha! — Renouard zaśmiał się znów gwałtownie, wciąż patrząc nieruchomym wzrokiem — a więc jest jeszcze jedno duże W w tem opowiadaniu?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał redaktor szybko, jakby się lękał, że go ktoś chce ograbić z patentowanego wynalazku.

— Jest także i — Warjat.

— Nie, tego nie można powiedzieć.

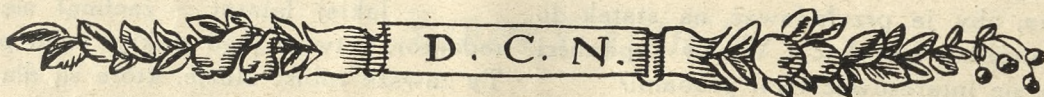
— No, to w takim razie nawijmy go łajdakiem! co mnie to może, do diabła! obchodzić!

— Poczekaj, nie wysłuchałeś przecie jeszcze tej historii do końca.

Renouard, z kapeluszem włożonym na głowę, usiadł zpowrotem na krześle, z pogardliwym uśmiechem człowieka, który odgadł już moralną naukę opowiadania. Redaktor, obróciwszy się ku niemu na swem śrubowem krześle, ciągnął dalej z powagą:

— Nazwałbym go tylko nieostrożnym. Nieraz jest rzeczą równie niebezpieczną mieć do czynienia z pieniędzmi, jak z prochem, nie można być dość

ostrożnym; tyczy się to, zresztą, także i ludzi, z którymi się pracuje. Nastąpił wielki krach, i znajomi już go więcej nie ujrzeli. Lecz nim zniknął, poszedł do panny Moorsom. Fakt ten przemawia za jego niewinnością, nieprawda? Co sobie powiedzieli, nikt na świecie nie wie, chyba, że córka zwierzyła się profesorowi. Zresztą, nie było tak bardzo o czem mówić i nie pozostawało nic innego, jak pozwolić mu wyjechać, gdyż sprawa dostała się już do gazet. Zapomnieć go, oto co można było zrobić najlepszego, a przynajmniej, najłatwiejszego. Przypuszczam, iż przebaczenie byłoby rzeczą znacznie trudniejszą dla młodej panny, niegłupiej i z taką pozycją towarzyską, zaplątanej w ohydny sprawę. Naturalnie, mam na myśli zwykłą pannę. Młodzieniec nie żądał niczego więcej, tylko zapomnienia, ale sam, widać, nie uważał tego za rzecz łatwą, gdyż czasem pisywał do kraju. Nie zwracał się do żadnego ze swych przyjaciół; nie miał też nikogo z bliskich, a opiekunem jego był profesor. Biedak pisywał czasem do starego emeryta, który był kiedyś służącym jego nieboszczyka ojca, a mieszkał gdzieś na wsi, jednocześnie jednak zakazując mu opowiadać komukolwiek, gdzie się znajduje. Stary, wierny osioł, krążył wokoło domu Moorsom'ów w mieście, rozpytywał się może panny służącej, a potem pisał do „pana Artura“, że panna wygląda na zdrową i szczęśliwą, lub inne, równie inteligentne, a pocieszające, wiadomości. Biedak godził się może z myślą, że o nim zapomną, lecz nie przypuszczam jednak, by go te nowiny cieszyły. Jak sądzisz?



WANDA MELCER-RUTKOWSKA

3

ROK 2200

Teraz za pierwszym zakrętem zobaczył Szymon siedzącą na trawie kobietę i spokojny, pochylony profil.

Kiedy stał już przy niej, posłyszała jego obecność, podniosła głowę i podała mu rękę. Znowu musiał podziwiać jej twarz uroczą i łagodną, pełną utajonej poezji i tęsknoty i zdumiewać się, dlaczego te cechy, tak zwykle w innych dla niego rażące, pociągały go do tej osoby tak nieprzeparcie. Jej jasne oczy patrzyły na niego z zaufaniem i sympatją, a brązowe światła koło źrenic grały melodyjnie, jak kołysząca się woda jezior.

— Skończyłeś? — zapytała cicho.

Pocałował jej miłe, wąskie palce.

— Nic już nie pamiętam. Nie każ mi o tem myśleć. W tej chwili wiem tylko, że jestem przy tobie. Czy uwierzysz, że naprawdę nic nie pamiętam? Tam jest moja praca, moja ambicja, tam szarpia się moje nerwy, tam natęża się mój mózg. Ale ty i cała kategoria wrażeń, z tobą związanych, to jest wysoka nadbudowa nad mojem życiem, w powietrzu wybudowana glorijska, gdzie cudownie wypoczywam. Ty masz przy sobie innego człowieka, innego Szymona, niż ten, jakiego widzą mężczyźni, którzy ze mną pracują.

Melodyjnemi palcami zwijała i rozwijała długie wstążki od florenckiego kapelusza.

— Jak tu pięknie! — powiedziała, łagodnie oddychając.

— Ty jesteś piękna — powiedział cicho. Cała istota Anny nakazywała spokój, powagę i ciszę. Każdy, który znalazł się w jej atmosferze, ulegał jej mimowoli.

— Spójrz — mówiła dalej — spójrz na to śliczne jezioro tam, w dole. To jeden z najpiękniejszych szwajcarskich pejzaży. Tam, koło Genewy, już zarumienionej od wieczornych świateł, jest początek sierpa, który obejmuje uściskiem skały, aby się skończyć gdzieś, gdzie go nie widzimy, przy Montreux, pod ostremi, białymi Dents du Midi. Na zboczach kwitną kwiaty, białe narcyzy i pachnące laki. Po drzewach, które tu przy nas rosną, wieszka się zielony bluszcz, otulając pnie w długie, przejrzyste firanki. Czy widzisz tu zgóry most, przez który przechodzę co rano, aż do targu kwiatów? Po drodze jest zegar na wieży, na który codzień podnoszę oczy, przechodząc. Kiedyż mi uwierzysz, Szymonie, że świat jest piękny i godny twego zainteresowania? Spójrz na te dwa żagle, tam nadole!

Patrzył na nią tak intensywnie, że słowa jej dochodziły go tylko, jak niezrozumiały świergot ptaka. Jej spokojne oczy odbijały miłe przedmioty, o których mówiła. Teraz przytuliła głowę do jego głowy. Czuł na swojej twarzy jej gładki policzek, a wyżej szorstkość florenckiej słomki. Skóra Anny była biała i chłodna, ale biły z niej ku niemu gorące jakies dreszcze. Przyciągnął ją bliżej ku sobie.

— Nie mówisz mi nigdy o sobie — powiedziała, delikatnie się broniąc jego natarczywym ręką — tak mało wiem o tobie, mimo, że już tak bliski jest czas, kiedy mam zostać twoją żoną.

— Jesteś moją kobietą, nie żądam, żebym z ciebie zrobił kolegę. O czemże mam ci mówić, Anno? Pozwól mi tylko oprzeć głowę o twój policzek, to wszystko, czego mi potrzeba.

Anna zrobiła śliczny grymas niezadowolenia.

— Czy chodzi ci o tajemnicę? — pytała. — Któż jej lepiej odemnie dotrzyma? Wszystko, co mi powiesz, jest zamknięte w pamięci mojej nazawsze. Ty nie wiesz, Szymonie, ile twoje słowa, najmniej znaczące, ruch warg, kiedy jesteś niezadowolony, spojrzenie trochę przewlekłe twoich posępnych oczu, pod temi gęstymi brwiami, to wszystko są dla mnie rzeczy niesłychanie ważne, które potem przypominam sobie, rozważam i poddaję gruntownemu badaniu.

— Jesteś zachwycająca — powiedział jej cichym szeptem we włosy, które, lekkie, wymykały się z pod kapelusza.

— Ja przecież rozumiem — mówiła dalej, — że ty nie chcesz ciągle myśleć o tych rzeczach dręczących i ciężkich, jak twoja praca. Ja rozumiem wszystko, wszystko, Szymonie. Ale, czy nie myślisz, że by-

łabym ci bliższą jeszcze, gdybym znała twoje kłopoty?

— Nie mam kłopotów — powiedział, prostując się dumnie. — Nie mam kłopotów, rozumiesz? I powiedz, poco mam ci opowiadać o rzeczach, z którymi sobie daję radę sam? Kiedy będziesz ze mną, nie będziesz nic wiedziała o ciemnych stronach życia, nie dotkniesz się nigdy walki o istnienie. Nie poto wybrałem tak ciężki trud dla siebie, żebym nie mógł zapewnić spokoju kobiecie, którą kocham. Nie poto przewyciężyłem tyle rzeczy w sobie, żebym je miał wkładać na twoje ramiona, ramiona słabe, dla których jedynym ciężarem będą moje ręce.

Uśmiechnęła się wreszcie.

— Więc dobrze — powiedziała. — Nie mówmy o tem. Ach, czyż chciałabym, żebyś miał przy mnie zatrutą bodaj jedną chwilę? Bądź pewien, Szymonie, że jeżeli kiedy będziesz miał ze mną jakiś kłopot, to naprawdę przeciwko mojej woli.

Potem mówiła znowu, kiedy całował jej skronie:

— Spójrz na tę trawę i owady, które wśród niej biegają. Czyż to nie dziwne życie, tu, między lasem trawy, nad brzegiem takiej przepaści?

Wszakże, kiedy całował jej brwi, zamilkła.

— Nic już nie powiesz? — zapytał.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

— Ta góra! Cóż za śmieszne przywidzenia! Byłabym przysięgła, że drgnęła.

Teraz on się roześmiał radosnym, triumfującym śmiechem.

— Jeszcze nie!

Nie zwróciła na to uwagi. Rozszerzonemi oczami, ciasno trzymana w jego objęciu, patrzyła, odwrócona, na coś, co się działo po za ich plecami.

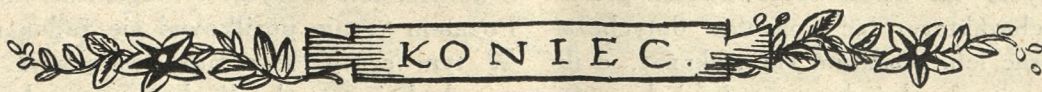
— Ależ mnie się nie zdaje! Szymonie, co to się dzieje? Szymonie!

Patrzył na nią, jeszcze nie rozumiejąc. Ale już i huk przeraźliwy rozległ się zdaleka, rozbijając się po skałach w drobne kawałki echa. I wszystko stało się tak prędko, że Szymon sam nie mógł tego zrozumieć. Poraziła go oslepiająca myśl.

— Wszakże to miało być dzisiaj!

A już waliła się na nich góra cała, jak skamieniała fala potopu. Czy gdzieś uskoczył? Czy odsunął, czy popchnął Annę? Kiedy się podnosił, ogłuszony, zobaczył wielką wyrwę w szczęce gór, jak po brakującym zębie. U jego nóg, daleko, posępna, ciemna masa zasłaniała niebieskie jezioro. Był w obcej, całkowicie odmiennej, okolicy. Ale cała lawina przetoczyła się gdzieś bokiem, zaledwo się o niego otarłszy. O parę kroków od niego leżała Anna.

Więc porwał na ręce trupa kobiety i niósł przed siebie w dolinę, schodząc wielkimi krokami w świat pusty, ciemny, zawalony bryłami poszarpanych skał.



JAK PRACUJĄ KOBIECE KLUBY SPORTOWE W WARSZAWIE

Obrońcy koncepcji klubów mieszanych, a więc w istocie rzecznicy opieki męskiej nad organizacją sportu kobiecego, niejednokrotnie wysuwali argument, głoszący, że samodzielność organizacyjna pań w życiu sportowym na dobre im nie wyjdzie, bowiem nie potrafią one dość sprężyć się, dość umiejętnie i dość mądrze pod względem „gospodarczym“ i technicznym poprowadzić prac stowarzyszeniowych.

Argument ten, dość rozpowszechniony, należałoby poddać rewizji gruntownej. Chwila obecna jest tembardziej potemu odpowiednia, że stoimy w przededniu stworzenia nowych podstaw dla usamodzielnienia naszego kobiecego ruchu sportowego. W toku są przygotowania, zmierzające do powołania centralnej organizacji kobiecej, któraby w swoje ręce ujęła sprawę propagowania i kierowania wychowaniem fizycznym i sportami, przez panie uprawianymi. Najbliższe dni przyniosą nam niezawodnie ostateczne rozwiązanie tej sprawy, a na łamach najbliższego numeru pisma naszego omówimy obszerniej zadania i programy pracy powstającej centrali sportów kobiecych. W artykule niniejszym zajmiemy się, natomiast, zagadnieniem — będącym w stosunku do kwestji usamodzielnienia organizacji sportowej kobiet niejako wstępem i zarazem probierzem. Omówimy, mianowicie, sprawę, czy sport kobiecy w istniejących dotychczas komórkach autonomicznych wykazał zdolności i umiejętności organizacyjne, i jak zdał swój egzamin życiowy z przebiegu dotychczasowej samodzielnej pracy.

Traktując zagadnienie powyższe w sposób jaknajbardziej konkretny, przeprowadzę analizę na terenie istniejących w Polsce samodzielnych organizacji sportowych kobiet, a więc ucieknę się od razu do w/wisekcji.

W grę wchodzić tu mogą jedynie dwie samodzielne jednostki organizacyjne kobiet; Warszawski Klub Wioślarek i żeńskie gniazdo sokole „Grażyna“. Są to najstarsze, a zarazem do niedawna jedyne samodzielne kobiece kluby sportowe. Grażyna istnieje lat 20, Klub Wioślarek — lat 15. Ponadto istniejący Kaliski Klub Wioślarek liczy zaledwie 2 lata samodzielnego bytu, Bydgoski Klub Wioślarek powstał zaledwie w roku ubiegłym. Zatrzymam tedy uwagę czytelniczek jedynie na działalności dwóch pierwszych klubów i, charakteryzując pokrótce dotychczasowy przebieg prac ich, postaram się wykazać, o ile więcej są one w stanie dać bezpośrednich korzyści

swym członkiniom w porównaniu z tem, co dać mogą i dają kluby mieszane, ewentualnie sekcje pań przy klubach męskich.

Zacznijmy od Warszawskiego Klubu Wioślarek. Istnieje od roku 1912. Powstaje dzięki prywatnej inicjatywie kilku pań i z punktu zdobywa sobie popularność, osiągając już w pierwszych paru latach cyfrę ponad 100 członkiń. W pierwszym zaraz okresie swego istnienia własnym wyłącznie wysiłkiem, bez żadnej pomocy finansowej zzewnątrz, bez najmniejszej współpracy panów, zdobywa się na wystawienie pokaznej — jak na owe czasy — przystani na Wiśle, oraz na tabor wioślarski, złożony z kilku łodzi. Prowadzi intensywną pracę wioślarską i pływacką. W szybkim czasie dopracowuje się do grona instruktorek wioślarskich i odtąd posługuje się niemal wyłącznie własnymi siłami w zakresie instruowania młodych wioślarek.

W długim okresie wojny Klub Wioślarek bierze czynny udział w akcji społecznej, związanej z wypadkami wojennymi. Nie zaniedbuje wszakże właściwych swych celów sportowych. Jednak rozwój Klubu w tym okresie jest nieco hamowany: inne ważniejsze, bardziej aktualne, bardziej żywotne cele odciągają od sportu uwagę świata kobiecego.

Z początkiem roku 1921 Warszawski Klub Wioślarek bierze nanowo pełny rozpęd. Wszystko jest do zrobienia. Tabor przestarzały i zniszczony, przystań zmurszała. Na porządku dziennym — sto potrzeb, niecierpiących zwłoki, napływ członkiń domaga się nowych inwestycji.

Wciągu następnych czterech lat wre niezmordowana praca, głównie inwestycyjna. Ku podziwowi męskich klubów wioślarskich — staje na lądzie doskonale pomyślany, obszerny budynek — szatnia na lądzie, — okolony obszerną werandą. Jest to — bez przesady można powiedzieć — najobszerniejsza i najracjonalniej w Warszawie urządzona szatnia wioślarska. Teren zostaje zadrzewiony. Na wodzie staje duża pływalnia, wyposażona w przyrządy ratownicze.

Znacznie powiększony zostaje tabor: z roku na rok przybywa po parę łodzi.

W tej swojej olbrzymiej pracy inwestycyjno-gospodarczej Klub zaledwie dwukrotnie korzystał z niewielkich subsydjów magistratu m. st. Warszawy. Pozatem — nie posiłkował się żadną pomocą panów. W tym czasie znacznie powiększył liczbę członkiń swych, która w chwili obecnej przekracza cyfrę 300.

Oczywiście, na skutek tak wyężonej pracy inwestycyjnej — ucierpiał nieco w ostatnich latach program ściśle sportowy z punktu widzenia wyników. Ale pomimo wszystko — latem wioślarstwo turystyczne cieszy się olbrzymim powodzeniem, dokonywane są wycieczki, nierzadko liczące paręset kilometrów. Niemniejszym powodzeniem cieszy się pływanie: rok ubiegły dał około 40 nowych pływaczek, a dokonane próby wewnętrznych zawodów pływackich dały rezultaty zadawalniające. Zima nie stanowi przeszkody w pracy sportowej Klubu: czynne są systematyczne (dwa razy w tygodniu) lekcje gimnastyki pod kierunkiem znanej instruktorki, p. F. Tryburskiej, zarazem doskonałej pływaczki i wioślarki.

Nadto w roku bieżącym czynny jest zespół szermierzy pań z Warszawskiego Klubu Wioślarek.

Jedynie wioślarstwo sportowe, to jest regatowe, pozostawia nieco do życzenia. Na przeszkodzie stoi tu brak odpowiedniego taboru, którego koszt ciągle jeszcze przewyższa możliwości finansowe Klubu.

Ale i pod tym względem rok bieżący zapowiada pomyślną zmianę.

Jeśli porównamy obecnie warunki, w jakich uprawiać mogą sporty wioślarski i pływacki członkinie Warszawskiego Klubu Wioślarek, z warunkami, panującymi w klubach wioślarskich mieszanych, z łatwością stwierdzimy bezsprzeczną wyższość tego jedyne do niedawna w Polsce Klubu Kobiecego. Kto wie, ile trudu nieraz wymaga wyproszenie łodzi dla damskiej osady w klubie mieszanym, jak trudno uzyskać warunki dla prowadzenia systematycznego treningu pań w klubach tych — ten bez wahania przyzna rację wierzeniu, że jedynie dogodne warunki uprawiania sportów wioślarskiego i pływackiego jest wstanie dać kobietom Warszawski Klub Wioślarek.

A jednocześnie z punktu widzenia umiejętności rządzenia się i zdolności organizacyjnych Warszawski Klub Wioślarek nie ustępuje klubom męskim. Wystarczy porównać istniejący stopień zagospodarowania terenów, jakości i ilości łodzi, a wreszcie stanu organizacyjnego w męskich klubach wioślarskich i w Klubie Wioślarek.

Reasumując wszystko, wyżej powiedziane, dochodzimy do ostatecznego wniosku: Warszawski Klub Wioślarek stwierdził, iż nietylko samodzielność organizacyjna kobiet w sporcie jest wstanie pozytywnie odpowiedzieć swemu zadaniu, lecz, co więcej — dowodzi nam, że jedynie w drodze samodzielności organizacyjnej jest wstanie najpomyślniej rozwiązać praktycznie potrzeby sportowe kobiet. K. M.

Kobieta w świecie i w domu

KOŁO PAŃ DO ZWALCZANIA RAKA

„Koło pań“ przy polskim Komitecie do zwalczania raka, znajdujące się pod protektoratem i przewodnictwem p. Prezydentowej Mościckiej, odbyło na Zamku posiedzenie sprawozdawcze. Z referatów sekretarki jeneralnej p. Anny Paszkowskiej i kierowniczek poszczególnych sekcji widać, że młoda ta instytucja rozwija się szybko i pomyślnie. Zdobyto spore fundusze, rozwinęto na szerszą skalę propagandę, rozciągnięto opiekę społeczną na wszystkie szpitale warszawskie. W posiedzeniu przyjęło udział około 80 członkiń. Obradom przewodniczyła doktorowa Bronisława Wejnertowa.

WALKA Z HANDLEM ŻYWYM TOWAREM

Na terenie Polski obowiązują dotychczas 3 różnorodne ustawodawstwa, mające na celu walkę z największą plagą życia społecznego, jaką jest handel żywym towarem.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej postanowiło ujednostajnić przepisy ochronne w całym państwie i opracowało projekt odnośnej ustawy.

Projekt zaostrza wszystkie kary za przestępstwa w tej dziedzinie.

Kara ciężkiego więzienia do lat 15 grozi za wywożenie żywego towaru zagranicę, za sprowadzenie osoby niepełnoletniej przy użyciu przymusu moralnego, lub fizycznego, na drogę nierządu, oraz za powstrzymanie w drodze gwałtu osoby upadłej od powrotu na drogę uczciwej pracy.

Kto osobę niepełnoletnią, nawet za jej zgodą, sprowadzi na drogę nierządu, karany będzie więzieniem do lat 6.

Wogóle najmniejsza kara za przestępstwa w tej dziedzinie wynosi lat 6.

Obcy poddani, karani z mocy tej ustawy, po odbyciu kary, opuścić muszą granice Państwa bez prawa powrotu.

WYSTAWA HAFTÓW POLSKICH

Wszecławiatowa wystawa paryska dowiodła niezbicie, że polski przemysł artystyczny może rywalizować zwycięsko z wytwórczością innych krajów.

W rozwoju artystycznym naszej sztuki stosowanej, na baczność uwagę zasługują hafty polskie, które — przy umiejętnym wysiłku, muszą się uniezależnić od wzorów zagranicznych i nabrać swoistego charakteru. W celu poparcia rozwoju produkcji haftów w Polsce, Dykcja Muzeum Przemysłowego w Krakowie, postanowiła urządzać podczas lata bieżącego, kilka wystaw haftów, w następujących terminach:



Przy końcu czerwca 1927 r. odbędzie się pierwsza wystawa w Krakowie; w lipcu ekspozycje wystawowe zostaną przewiezione do Krynicy; w sierpniu t. r. odbędzie się wystawa haftów w Gdańsku.

Aby zapewnić tej ruchomej wystawie wysoki poziom artystyczny, powołane zostanie przy Muzeum Przemysłowym Jury, złożone z pierwszorzędnych fachowców, tak pod względem technicznym, jak artystycznym.

Tymczasem, Dykcja Muzeum (Kraków, ulica Smoleńska 9) dla zaoszczędzenia wystawcom niepotrzebnych kosztów podróży, proponuje nadsyłanie projektów haftów pod adresem powyższym.

Projekty będą przedstawione Jury wystawowemu, i w terminie 15 dniowym po ich doręczeniu, zwracane z odpowiednią opinią. Hafty wykonane, oraz projekty haftów, przeznaczone, jako takie, na wystawę, przyjmowane będą najpóźniej do dnia 15 czerwca b.r.

Wystawa ma obejmować dwa działy: haftów białych i odpowiednich wzorów, oraz haftów kolorowych. W każdym z tych działów uwzględnione będą osobno hafty i wzory o charakterze nowoczesnym, osobno — o charakterze ludowym.

Przystępując do realizacji powyższego projektu Dykcja Muzeum Przemysłowego zwraca się do wszystkich wytwórców z propozycją wzięcia udziału w zamierzonej wystawie. Za częściowe pokrycie kosztów, połączonych z wystawą, Dykcja Muzeum pobierać będzie od 10—50 zł., zależnie od ilości i wielkości nadesłanych eksponatów.

Nadmienić należy, że wystawa haftów polskich w Krynicy i Gdańsku spotka się z XIX wszechświatowym Kongresem Esperantystów, który przyciąga zazwyczaj przeszło 1000 delegatów z całego świata.

„DZIEŃ KOBIEC” NA CAŁYM ŚWIECIE

Jak wiemy, dnia 27 marca, rozpoczęła się w Warszawie Ogólno Krajowa Konferencja Kobiec, zorganizowanych w Polskiej Partji Socjalistycznej.

W konferencji wzięli udział delegatki i delegaci poszczególnych ośrodków organizacyjnych z całej Polski. Równocześnie prawie w innych krajach europejskich odbyły się podobne konferencje.

Partja Socjalistyczna w Austrii postanowiła rozciągnąć do 14 dni „Dzień Kobiec”, który się rozpoczął 20 marca i trwał do 3 kwietnia. W całym kraju urządane były wiece, pogadanki, oraz pochody demonstracyjne.

W Anglii został opracowany już plan: „Miesiąca Kobiec”. W roku ubiegłym zorganizowano „Tydzień Kobiec”, który cieszył się tak wielkim powodzeniem, że w tym roku akcję propagandową postanowiono rozszerzyć na cały miesiąc.

Miesiącem tym będzie czerwiec. Prócz zgromadzeń, wieców i pogadanki, urządane będą pochody, transparenty, żywe obrazy, a w Londynie odbędzie się wspaniała maskarada kostjumowa.

W Niemczech „Dzień Kobiec” trwał od 26 marca do 3 kwietnia. W Szwajcarii — od 20 marca do 4 kwietnia, w połączeniu z popisami sportowymi.

W Moskwie, „Dzień Kobiec”, który przypadł w tym roku w dniu 8 marca, odbywał się zgoła w innych warunkach, niż lat poprzednich.

Dotychczas, w dniu tym odbywała się po całej Rosji gorączkowa agitacja wśród kobiec, w celu przy-

ciągnięcia największej ilości towarzyszek do sowieckiej pracy społecznej.

Tegoroczne obchody nie miały jednak charakteru wzmocnienia międzynarodowego ruchu rewolucyjnego — a raczej, były poświęcone wyłącznie sprawom lokalnym.

Obecny, zaostrozony konflikt angielsko - sowiecki, oraz ofenzywa kapitalistów zagranicznych, podjęta przeciwko Rosji, wywołały konieczność nawoływania współobywatelek do wstępowania do szkół sanitariuszek i do najszybszego tworzenia kobiecych kadr wojskowych.

Pozatem „towarzyszki” informowały opinię publiczną o swych troskach, kłopotach i wyzyskiwaniu przez „towarzyszy” sowieckich, ich pracy na każdym terenie życia, czy to rodzinnego, czy społecznego.

PIĄTEGO ROZWODU NIE OTRZYMAŁA...

Płocha i piękna pani Peggy Hopkins, słynna w całym Nowym Jorku ze swej urody, zapragnęła wyjść za mąż... po raz szósty. W tym celu zwróciła się do sędziego E. Marray i z czarującym uśmiechem poprosiła staruszka o przeprowadzenie rozwodu. Pani Peggy wyznała skruszona, że pięć już razy próbowała szczęścia rodzinnego i pięć razy została gorzko rozczarowana, tym razem...

Jakież było zdumienie i oburzenie pięknej lady, kiedy sędzia E. Marray, wysłuchawszy klientkę, wykrzyknął ostro:

— Nie dam ślubu! nie dam piątego rozwodu!

Później, głosem spokojniejszym oznajmił zgorzzonej piękności:

— Pierwszy rozwód może być wytłumaczony. Drugi — jest już katastrofą. Trzeci — czwarty — już tragedia, świadczy o jakimś wyjątkowym pechu nieszczęśliwej kobiety.

Lecz rozwodzić się po raz piąty — to znaczy kpić sobie wogóle z małżeństwa, prawa i ludzi. Nie dam piątego rozwodu!

PRAWO MAŁŻEŃSKIE W CHINACH DOCZEKAŁO SIĘ REFORMY.

Władze rewolucyjne w Chinach dążą energicznie do przeprowadzenia wszelkiego rodzaju reform, które nadałyby Niebieskiemu Państwu charakter bardziej współczesny.

Do bolączek najaktualniejszych zaliczyć można reformę prawa małżeńskiego, które od 3050 lat maltretuje chińczyków.

Prawo to zostało wydane w roku 1122 przed Nar. Chryst. przez cesarza Wu-Wanga i opiewało surowy zakaz zawierania małżeństw pomiędzy osobnikami tego samego nazwiska.

Dekret powyższy, przechowywany z pietyzmem przez tyle, tyle wieków, niejednokrotnie stawał się przyczyną wielu tragedji.

W Chinach, bowiem, wedle mistycznej historii istnieje tylko 100 nazwisk: wszyscy chińczycy wywodzą się od 100 przodków.

Na 400 milionów ludzi — taka szczupła liczba nazwisk!

Sytuacja powyższa wytworzyła istny zamęt w Niebieskim Państwie. Naraz kilka milionów ludzi nosi

jedno i samo nazwisko i, aczkolwiek nie spokrewnieni żadnymi więzami krwi, nie mogą zawierać pomiędzy sobą małżeństw. Dopiero w tym roku dekret cesarza Wu-Wanga został zniesiony, i władze rewolucyjne mają zabrać się w najbliższym czasie do sprawy nazwisk chińskich.

NAJPIĘKNIEJSZA ZPOŚROD PIĘKNYCH

W jednym z ostatnich marcowych Nr. „L'Illustration“ podane zostały szczegóły zamierzonego w Stanach Zjednoczonych konkursu nad konkursy: będzie nim turniej piękności z całego świata, w celu wybrania, ogłoszenia i uwieńczenia najpiękniejszej kobiety na świecie!

Turniej ten odbędzie się w maju roku bieżącego, na eleganckiej plaży amerykańskiej Galvestone w Texas.

Można sobie wyobrazić, jakie gorączkowe zainteresowanie wzbudzi on w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie!

Ponieważ trudno byłoby sprowadzić do Texas wszystkie piękne kandydatki z rozmaitych krajów „na próbę“, a z drugiej strony jest rzeczą niezbędną, aby wszystkie kraje były reprezentowane, zwrócono się więc do każdego państwa z propozycją, aby wybrało u siebie tę, którą uważa za najgodniejszą noszenia tytułu piękności narodowej.

Wybór jest dowolny, z jednym tylko zastrzeżeniem, że dopuszczone do konkursu kandydatki muszą być kobietami nieposzlakowanego prowadzenia, zarabiającymi na życie, lub mieszkającymi przy rodzinie.

Każda „szampionka“ narodowa, wraz z jedną towarzyszką, rodaczką (uznaną, jako piękność drugorzędna), otrzymuje zaproszenie od Komitetu Amerykańskiego, który pokrywa wszystkie koszty podróży, pobytu i niezbędnych tualet pań.

Tę, która zostanie uznana za najpiękniejszą na świecie — czeka nagroda 50.000 franków, oraz zaangażowanie w charakterze gwiazdy filmowej do dużej firmy kinematograficznej. Propozycja amerykańska została przyjęta z zadowoleniem; w całym szeregu stolic powstały już komitety narodowe, które przystępują obecnie do obrania piękności.

W Paryżu, z inicjatywy „Journal'a“ zawiązał się komitet pod przewodnictwem Maurice'a Waleffe.

W skład jury weszli różni malarze, jak Van Dongen, Abel Faivre etc., dalej—przedstawiciele kinematografu, sztuki fotograficznej itd. Ze strony komitetu amerykańskiego, jako delegat, występuje malarz Warchałowski.

W pierwszym dniu od razu zgłosiło się 1000 kandydatek, i, jak zaznacza „L'Illustration“, należy podziwiać skromność francuzek, skoro tylko... 1000 uznało się godnymi zaszczytu godła wszechświatowej piękności. Coprawda, tylko 200 spośród nich przedefilowało przed aeropagiem sędziów, reszta nie została dopuszczona do tej ceremonii.

Po kilkogodzinnem badaniu, pozostało 40 ślicznych twarzy, które, jednak, ku wielkiej rozpaczy adeptek, zredukowano do śmiesznej liczby... 4.

Z 1000 kandydatek wybrać tylko 4... no... no...

Te cztery stały się przedmiotem zacieklej spórów, gdyż reprezentowały, niejako, cztery różne style Francji.

Narazie palmę pierwszeństwa miała otrzymać uroczą aktorka filmowa (styl Ludwika XV), zbyttnia jednak kokieterja stała się dla niej tragiczną, i szale przechyliły się na stronę M-elle Roberte Cuscy, o typie Leonardowskiej Giocondy. Panna Cuscyma zaledwie lat 20 i jest skromną pracownicą w magazynie mód na Champs Elysés.

Wystąpi ona, jako „M-elle France“ i będzie musiała współzawodniczyć z panną Ameryką, Anglią, Germanją, Turcją itd.

Ogłędziny na plaży w Texas będą trzykrotne: w kostjumie kąpielowym, w stroju sportowym i w sukniach wieczorowych.

Niezmiernie będzie ciekawe zestawienie, jak każdy kraj wyobraża sobie wcielenie swojego ideału piękności.

Myślimy, że i Polska nie omieszka wybrać spośród swych uroczych syren—najpiękniejszej i najbar dziej rasowej.

H. S.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Echa uroczystości beethovenowskich. — Koncerty Stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki. — Występy artystów włoskich w operze.

Setna rocznica śmierci Beethovena znalazła oddźwięk w całym świecie muzycznym Europy.

W każdym kraju, w każdym mieście, biorącym udział w życiu muzycznym, niezależnie od narodowości—urządzono uroczyste, pełne pietyzmu dla genialnej twórczości, koncerty, związane, i rzecz jasna, z najistotniejszą jej wartością.

W Warszawie, uroczystości beethovenowskie ograniczyły się w Filharmonji jedynie do pobieżnie przygotowanego i spóźnionego w swojej ciągłości cyklu dziewięciu symfonij.

Dyrekcja opery zignorowała najzupełniej rocznicę i właśnie 26-go marca, t. j. w dniu śmierci Beethovena, urządziła, udaną zresztą pod każdym względem, próbę generalną Parsifala.

Stulecie Beethovena uczciła z prawdziwym kultem jedna tylko dyrekcja koncertowa H. Markiewiczza, dała, bowiem, dwa bardzo udane, o najwyższym poziomie, wieczory kwartetów: Rosego i drezdeńskiego, oraz wieczór sonat, w interpretacji najlepszej Artura Rubinsteina — wszystkie seanse zakrojone na miarę, godną uroczystego obchodu, za które p. Markiewiczowi należą się słowa szczerzego uznania.

Stowarzyszenie miłośników dawnej muzyki rozwija coraz szerszą, godną nie tylko pochwały, ale i poparcia, działalność. Koncerty, które ograniczały się dotąd do skromnych, mało uczęszczanych audycji, rozszerzyły znacznie swój program, a temsamem i zainteresowanie publiczności, obudzone dla utworów polskich z XVI, XVII i XVIII wieku. Chór, pod dykcją B. Rutkowskiego, prowadzony bardzo starannie, odśpiewał czterogłosowe utwory nieznanymi polskimi autorami i psalmy Mikołaja Gomółki z rozbrajającą, dla ich łatwości, dedykacją:

Są łącniuchno uczynione
Prostakom nie zatrudnione,
Nie dla Włochów — dla Polaków,
Dla naszych prostych domaków.

Poza motetem Mikołaja Zieleńskiego i sonatą na 2 skrzypiec i organy Stanisława Sylwestra Szarzyńskiego, był jeszcze w obfitym tym programie koncert kameralny J. S. Bacha, na dwa fortepiany z tow. kwartetu smyczkowego, oraz pełna rokokowej lekkości i wdzięku symfonia Haydna, na skrzypce, wiolonczelę, obój, fagot i fortepian. Interpretacja dawnych utworów stała na poziomie nakładu pracy i zapału miłośników starej muzyki. Bar-

dzo piękne programy, opatrzone wyczerpującymi komentarzami, dotyczącymi autorów, były dopełnieniem wieczoru, urządzonego z całą starannością i ze wszech miar zasługującego na uznanie.

Występy artystów włoskich w naszej operze nie były szczęśliwą imprezą dyrekcji. Podwyższono znacznie ceny miejsc, a dano produkcje, nie przekraczające przeciętnych wartości wokalnych i dramatycznych.

Najlepsze w zespole były sopran; p. de Veroli, jako sopran koloraturowy posiada głos o szlachetnym brzmieniu i bardzo dobrej technice koloraturowej, ma jednakże tendencję do zniżania wysokich tonów i niezawsze czystą intonację. Ładny sopran dramatyczny ma p. Belmas, przy dobrym opanowaniu scenicznym — także piękne warunki zewnętrzne. Naogół, przy obsadzie tenora i barytona, nie pierwszej klasy, zespół włoski nie uczynił najlepszego wrażenia, czego dowodem była pustka, wiejąca z widowni. Wystawiono: „Rigoletto”, „Aidę”, „Pajace” i „Cavallerię”. P. Z.



TEATR LETNI:

Panna Marcelina, komedia w 3 aktach *Romana Coolus'a*.

Są sztuki, o których zgóry można powiedzieć, że będą miały powodzenie. Żywa akcja, lekki, w miarę błyskotliwy, dialog, nie zawiele psychologii, typy codzienne, niewyszukane, ale umiejętnie opracione w ramki pseudo-wykwintu towarzyskiego, żadnych problemów społecznych, lub życiowych, a jeżeli mimowoli się nasuną, to od niechcenia, zaledwie pogłaskane, — oto cechy sztuk nieśmiertelnej spółki Flersa i Caillaveta. Do tegoż samego typu, tylko w słabszej nieco odbitce, należy ostatnia premjera teatru Letniego „Panna Marcelina” *Romana Coolus'a*, w przekładzie Stefana Krzywoszewskiego.

Właściwy tytuł brzmi: „La petite peste”, epitet, którego polskim odpowiednikiem jest „ziółko”. I prawdziwym „ziółkiem”

byłaby urocza siedemnastoletnia Marcelinka, gdyby nie jej wrodzona prawość, no i świetna, tym razem, gra Majdrowiczówny, która z pensjonarskiej kozy, pół dziecka, pół kobiety, stworzyła ciekawy warjant paryskiej „wiochny”, b. nowoczesny, jeśli chodzi o uświadomienie życiowe, b. staroświecki, a właściwie jednaki dla wszystkich epok, jeśli chodzi o serce.

Bo z serca płyną wszystkie pozorne kaprysy, napady złego humoru i dziwaczne pomysły rezolutnego podlotka. Rozkoszna Marcelinka mimowolnie stała się świadkiem czulej sceny między swą zamężną opiekunką Pauliną (Larys-Pawińska), a zawodowym uwodzicielem p. Chancelet (Jerzy Leszczyński). Ognisko rodzinne Pauliny jej i męża, zacnego, ale dosyć szarego jegomościa, poważnie jest zagrożone. Aniołem opiekuńczym tego ogniska staje się... podłotek. Ze sprytem dziecka kulis (ojciec jest dyrektorem teatru), z wyrafinowaną kokieteryją rasowej paryżanki, „ziółko” bierze się do dzieła. Rozkochuje w sobie z łatwością oczarowanego jej wdziękiem uwodziciela i nie dopuszcza do pierwszego rendez-vous, które dla Pauliny mogłoby się stać Rubikonem.

Podstęp udaje się aż za dobrze, bo Chancelet, na zabój „pogrążon”, oświadcza się o rękę Marceliny, która, tymczasem zdążyła się zakochać w czterdziestoletnim, nieco zblazowanym panu, o siwiejących skroniach i bogatej przeszłości.

Wszystko, naturalnie, kończy się dobrze na tym najlepszym ze światów. Numa wychodzi za Pompiljusza, a niewczesny uwodziciel zostaje na koszu, niezałowany przez nikogo, chyba może troszeczkę przez Paulinę, zgłodniałą romantycznej awanturki przy arcsolidnym mężu. Czy małżeństwo siedemnastoletniej panienki z czterdziestoletnim „wdowcem po trzydziestu kochankach”, daje gwarancję szczęścia, — możnaby dużo powiedzieć. Marcelinka, wiedzona instynktem sieroty, garnie się do „starszego pana”, szukając w nim tego, czego nie może znaleźć u ojca: opieki, czułości, pieczyoty, towarzystwa i oparcia duchowego. Dla „starszego pana” będzie ona ostatnią, napewno najpiękniejszą wiosną jego życia. Jest w tem dużo poezji i dużo teatru. Ale życie ma swoje prawa i upomni się o nie, jeśli nie teraz, to za lat dziesięć w formie mniej lub więcej brutalnej. Za dziesięć lat „ziółko” będzie prześlicznie rozkwitającą kobietą, a jej małżonek — kompletnym „ramolem”.

Można będzie wówczas napisać nową komedię pod innym tytułem, ale napewno już nie o tak sielankowym rozwiązaniu. Ale tymczasem nie martwmy się o to. Marcelinkę doskonale wprowadzi w świat mąż, starszy o lat dwadzieścia pięć, którego z wdziękiem i wykwintem gra p. Różycki. Leszczyński tym razem przeszarżował trochę swego zawodowego uwodziciela. S. P. O.

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

ZNIŻKA 33%

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI”

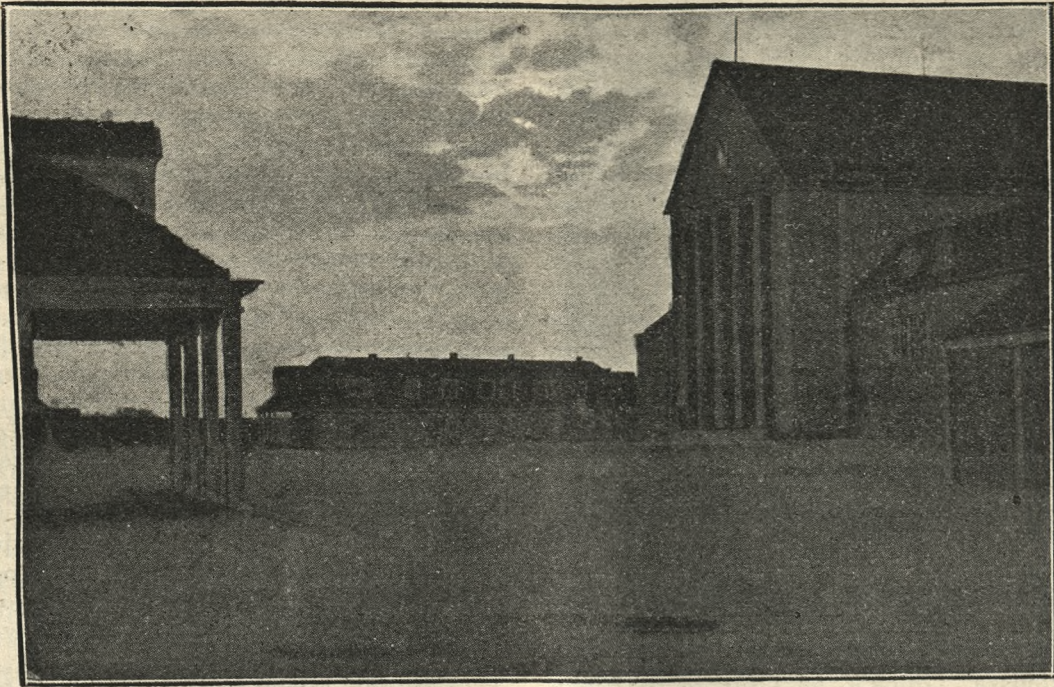
Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali”, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali” zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji. Specjalną uwagę poświęcać będzie kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek umysłowych.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu” powinna natychmiast przesłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14.400. „Na fali” ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — pierwsze dwa numery już wyszły z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99. Adres Administracji — Górnośląska 19.



Instytut Dalcroze'a w Hellerau

RYTM I PLASTYKA

Mało która z współczesnych kobiet, cieszących się z higienicznej i wygodnej mody obecnej, wie, że uwolnienie od ciasnego gorsetu, sztywnego wysokiego kołnierzyka, długiej, zmiatającej kurz i błoto, spódnicy i tympodobnych narzędzi tortury zawdzięczamy Isadorze Duncan, której bosonogie produkcje były istną rewolucją w początkach dwudziestego wieku. Ona pierwsza zdobyła się na odrzucenie krępujących ruchy trykotów, baletowych pantofelków z korkiem w palcach, ułatwiającym „pointe'ę” i konwencjonalnej „paczki”.

Zdając sobie sprawę z doniosłości swej reformy, nie poprzestała na kostjumach tanecznych, ale i w życiu codziennym nosiła antyczną tunikę, narzucając ten strój mężowi i dzieciom. Podczas występów artystki we wszystkich większych miastach Europy, ciekawo mogli podziwiać rodzinę Duncan, ubraną w chitony i zadrapowaną w togi. Tak ich uwieczniły liczne fotografie, kroczących z godnością i spokojem w fałdach antycznego stroju, odbijającego rażąco od wykrygowanych sylwetek otoczenia. Suknia, którą robimy obecnie, jest zmodernizowaną tuniką, której odebrano jej cechy hieratyczne i przystosowano do życia codziennego. Wyzwalając taniec z konwencjonalizmu i maniery baletu, Isadora Duncan szukała natchnienia w sztuce antycznej. Dzięki niej ożywały greckie i rzymskie posągi, zastęglę od wieków w jednym, syntetycznym ruchu, bas-relief'y świątyni, taneczne korowody z waz Etruskich... Twórczyni nowej szkoły tańca znalazła wnet mnóstwo uczenic i naśladowczyń i w krótkim czasie zdobyła sobie wszechświatową sławę. Jej tournée po Europie i Ameryce zamieniło się w istny pochód triumfalny. Tańce jej i zespołu uczenic stały się zkolei natchnieniem malarzy, rzeźbiarzy i teatromanów. Jej zawdzięcza swe koncepcje plastyczne znakomity reżyser-reformator Mejerhold, inny ciekawy reformator teatru Jewreinow poświęca

jej swą książkę pod tytułem: „Nagota na scenie”. Artystka czysto intuicyjna, Duncan, zawsze marzyła o genialnym teoretyku, któryby jej reformę tańca potrafił wnieść do potęgi doktryny. Gdy jednak człowiek taki znalazł się na jej drodze i powołał ją do współpracy—odmówiła. Nie wiadomo: czy nie zgadzała się z jego teorią, czy też bała się, że w nieuniknionej walce dwóch silnych indywidualności twórczych, zostanie zwyciężoną. Człowiekiem tym był szwajcar—Jacques Dalcroze, doktor muzyki i magister harmonji.

Jakgdyby dla zadośćuczynienia przysłowiu o proroku między swoimi, rodzinne miasto Dalcroze'a—Genewa—wykpiło jego poczynania. Miał jednak, szczęście trafić na braci Dorn, niemców, urodzonych z matki polki (Baranowskiej), łączących polski romantyzm i idealizm z niemiecką praktycznością, przytem ludzi bardzo bogatych. Z nimi udał się Dalcroze do Drezna, i tam powstaje pod miastem jego znakomity instytut—Hellerau. Imponująca szybkość z jaką wykwitło to wspaniałe miasto-ogród, jest zasługą niezwykłych zdolności administracyjnych braci Dorn, oraz głębokiego kultu dla muzyki w narodzie niemieckim. Zewsząd płynęły hojne składki na budowę, potem na podtrzymanie artystycznego eksperymentu, który, mimo tłumnego napływu uczni, wciąż przynosił znaczny deficyt. Obok wspaniałego, rozległego gmachu—stanowiącego właściwy instytut, gdzie mieściły się olbrzymie sale ćwiczeń, klasy fortepianowe i niezliczone prysznicie i łazienki, niezbędne przy forsownych ćwiczeniach fizycznych—rozpościerały się małe domki—mieszkania uczni. Każdy z nich miał własny pokój z fortepianem. Większe wille były zamieszkałe przez Dalcroze'a, Dorn'ów (salon ich matki, z domu Baranowskiej, stał się istną oazą polskości) i artystę malarza Zalemana.

Bracia Dornowie, Wolf i Harrold, założyli również w Hellerau fabrykę mebli artystycznych; każda rodzina robotnicza zamieszkiwała domek z ogródkiem, jednak warunkiem przyjęcia do fabryki było zobowiązanie ze strony robotnika posyłania dzieci do insty-

tutu Dalcroze'a. Dorn'owie wierzyli, że w ten sposób uda im się wychować młode pokolenie z wkorzeniem od dziecka poczuciem rytmu, zdrowsze, piękniejsze i moralniejsze. Marzyli, że z czasem Hellerau będzie miało swoje filje na całym świecie, że ćwiczenia rytmiczne staną się podstawą wychowania dziecięcego, i że rytmika Dalcroze'a będzie wykładana w każdej szkółce wiejskiej. Dalcroze wierzył, że, wpajając w ludzi poczucie rytmu i harmonji, uda mu się zreformować samo życie, i że to życie dopiero wyłoni z siebie nową sztukę. Dążąc do przywrócenia człowiekowi antycznej harmonji kształtów i ruchów, nie chciał, jak Duncan, korzystać ze znanych wzorów, lecz odrodzić człowieka drogą umuzykalnienia. To, co Duncan czyniła od zewnątrz, on pragnął zrobić od wewnątrz; obierał drogę trudniejszą, ale trwalszą. Duncan odtwarzała muzyczne nastroje, Dalcroze dążył do oddania ruchem istoty muzyki. Kiedy zwrócił się do Duncan z propozycją zajęcia się techniczną stroną ćwiczeń w instytucie — odmówiła. Zgłosiła się, natomiast, do Dalcroze'a jedna z najzdolniejszych uczenic Duncan, Annie Beck i, przeszedłszy w Hellerau pełny kurs umuzykalnienia, objęła prowadzenie ćwiczeń technicznych, czyli tak zwaną plastykę. Po paru, zaledwie, latach pracy wystawiono w Hellerau „Orfeusza“ Gluck'a, na które to przedstawienie zjechali się widzowie z całego świata.

W układzie rytmicznym i plastycznym chórów Dalcroze wykazał niezrównaną ekspresję ruchu zbiorowego i otworzył niezliczone możliwości reżyserskie w operowaniu tłumem. Słynny Reinhardt pozostaje dotąd pod wpływem Dalcroze'a, interpretując najczęściej mylnie koncepcje genialnego szwajcara. Stanisławski, twórca „Artystycznego teatru“ w Moskwie, wprowadza przymusowe lekcje rytmiki dla swoich aktorów, to samo nakazuje „redurowcom“ Osterwa. Dziś znajdujemy rytmikę w konserwatorjach, szkołach dramatycznych, szkołach średnich i nawet szkołach baletowych, choć, właściwie, rytmika i balet wykluczają się wzajemnie.

Wobec olbrzymiego rozgłosu Hellerau, niezatartego wpływu, jaki miało na sztukę, pedagogję i higienę życia europejskiego, trudno uwierzyć, że istniało ono we właściwej formie zaledwie cztery i pół lata. W 1919 roku zginął tragicznie Wolf Dorn; śmierć jego podczas wycieczki w Alpach osłania mrok tajemnicy. Całe Hellerau odczuło dotkliwie brak tego niezrównanego poety czynu.

Wkrótce po wybuchu wojny musiał opuścić Niemcy i znakomity Jacques, gdyż po podpisaniu protestu przeciwko barbarzyńskiemu zachowaniu się Niemców w Belgji, jego dalszy pobyt w państwie niemieckim stawał się nie do pomyslenia. Instytut w Hellerau istnieje nadal, prowadzi go Harrold Dorn, wraz z kilku uczniami Jacques'a, ale instytut ten bez swego genialnego twórcy jest, jak ciało bez duszy.

Dalcroze powrócił do Genewy, gdzie przyjęto go owacyjnie. Tam prowadzi nadal swoją szkołę, wciąż wprowadzając w swój system szereg inowacyj. Ostatnio bawił w Paryżu. Uczniowie Jacques'a rozproszyli się po całym świecie, głosząc sławę mistrza w sposób, nieraz, fanatyczny, i zubożając niepotrzebnie twórczą naukę do ram suchej, nieugiętej doktryny.

W Polsce mamy bardzo wielu uczni Dalcroze'a, i większość z nich ma swoje uczelnie, wszystkie bardzo uczęszczane. Wojna, a potem bieda powojenna nie pozwoliła na ziszczenie snu braci Dorn'ów: nie zakwitły liczne miasta-ogrody, umożliwiające ćwiczenia na wolnym powietrzu. Uczniowie i uczennice

ćwiczą w dusznych, niedostatecznie przewietrzanych salach. Marzenie o prysznicach i łazienkach pozostaje marzeniem. Ostatecznie, jednak, dobrodziejstwa rytmiki stają się przystępne coraz szerszym masom. Każdy, kto chociażby przez parę miesięcy uczęszczał systematycznie na gimnastykę rytmiczną, musiał ocenić jej dobroczynny wpływ na całokształt układu nerwowego.

Jako środek pedagogiczny w wychowaniu dzieci, gimnastyka rytmiczna oddaje nieocenione, wprost, usługi. Ma ona znaczenie nie tylko jako zdrowe, nieprzemęczające ćwiczenie fizyczne, wyrabiające estetyczne i harmonijne ruchy, nie tylko wdraża poczucie rytmu i rozwija muzykalność, ale ma ogromnie dodatni wpływ psychiczny. Uczy dziecko skupiania się, wyrabia wewnętrzną dyscyplinę i panowanie nad odruchami, zarazem tępi wszelką sztuczność i manierę. Młode dziewczęta, uprawiające gimnastykę rytmiczną i ćwiczenia plastyczne, wyładowują w nich wrodzoną potrzebę ruchu i tańca, z rozkoszą rozprężają skostniałe przy pulpicie, czy biurku młode członki. Dla kobiet dojrzałych ćwiczenia te stanowią najlepszy środek kosmetyczny, bo wzmocniają one zachować młodzieńczą sprężystość ruchów do bardzo późnego wieku, zwalczają przytem skuteczną plagę artretyzmu.

Smutny zawód czeka, natomiast, te, które wierzą niezłomnie, że parę lat ćwiczeń, uprawianych dwie godziny w tygodniu, uczyni z nich tancerki-artystki, zdolne zbierać laury na wszystkich estradach świata. Taniec jest sztuką poważną i trudną, wymaga długich studjów, forsownych i systematycznych ćwiczeń, a przede wszystkim — wrodzonego talentu, którego najbardziej wyteżona praca zastąpić nie jest w stanie. Ostatecznie, możemy być dumni, że nasze uczelnie wydały tancerki tej miary, co Halina Hulanicka, Kocnopka i Welska, oraz Jadwiga Hryniewiecka. Wszyst-



Grupa uczenic A. Paszkowskiej na wyspie Łazienkach

kie te artystki jeździły, coprawda, na zakończenie studjów zagranicę, ale był to, niejako, retusz ostateczny. Trwałą bazę, zarówno rytmiczną, jak techniczną, dały im szkoły warszawskie.

Znana tancerka Adolfina Paszkowska, zarazona w Hellerau marzycielstwem Dornów, zapragnęła wyprowadzić swój zespół na słońce i powietrze. Ruiny teatru na wyspie w Łazienkach dostarczyły najpiękniejszego tła, jakie można było wymarzyć. Tam — po zwalczeniu niezliczonej ilości przeszkód natury finansowej i technicznej, — artystka występowała wraz ze swym zespołem przez kilka lat zrzędu. Dziś znana jest pod mianem „Paszkowskiej z Łazienek“.

P. Paszkowska przeprowadziła również, w szkole im. Karłowicza, ciekawy eksperyment opracowania strony plastycznej partycyji operowych, zgodnie z rytmem i dynamiką napięcia muzycznego. Popis wykazał niezmiernie szczęśliwe rezultaty. Inna uczenica Dalcroze'a, p. Walentyna Wiechowiczowa, żona utalentowanego muzyka i dyrygenta, próbuje odtwarzać ekspresję dynamiczną utworów poetyckich zapomocą ruchu zbiorowego. Poemat Edgara Poe „Dzwony“, odtworzony przez uczni poznańskiego konserwatorium, był istnem arcydziełem kompozycji i oryginalności pomysłu. Zespoły pań Mieczysławskiej i Wysockiej mają w Warszawie swoją wyrobioną markę. Ciekawym jest fakt, że wszyscy nieomal uczniowie Dalcroze'a wprowadzili w swych szkołach ćwiczenia techniczne systemem Duncan i w ten sposób łączą te, początkowo wrogie, systemy.

Well.

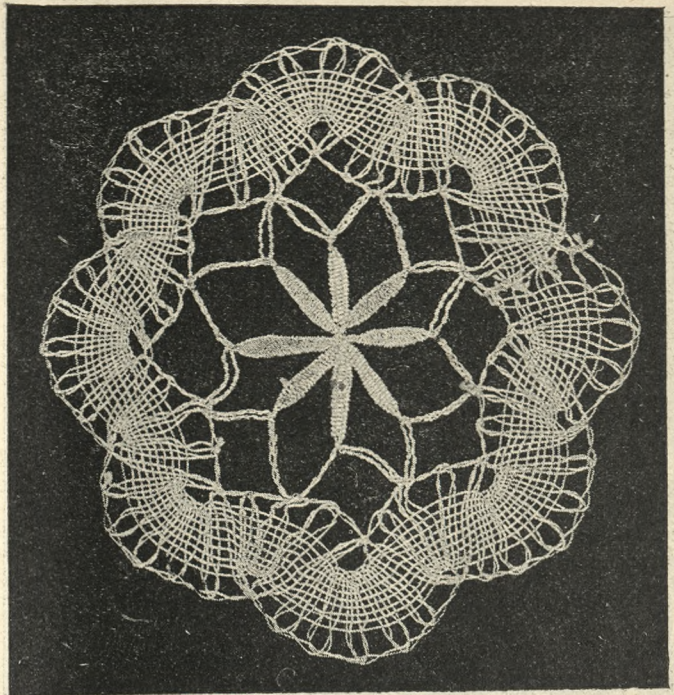
KRYNICA

Nie wierzę w to, aby wśród pań, stojących na czele tej uzurpacyjnej gospodarki, nie było jednostek, zdolnych docenić urodę życia, jaka płynie z systematycznej staranności, nienagannej czystości i estetyki. Co zabija w nich chęć wplecenia w ludzką egzystencję tych wszystkich walorów? Sądzę, że rozwiązanie znaleźć łatwo. Jest nim wszechwładna demoralizacja, płynąca z faktu, przesądnego zgóry. Na jedno puste miejsce u stołu, na jeden wolny pokój, nie bacząc na to, jakimi będą, czeka dziesięć osób, zamykając oczy na wszelkie braki i łowiąc z utęsknieniem szept zegarów przeznaczenia, na których wkońcu wybije ich godzina. Przepelnienie jest niezaprzeczonem punktem ciężkości, o który rozbija się zdrowa konkurencja, oparta na chwalebne współzawodnictwie.

Reasumując powyższe, poczytuję sobie za obowiązek zwrócić uwagę wszystkich pań, które, dysponując pewnym kapitałem, pragną stworzyć sobie warsztat niezależnej, a pożytecznej pracy, że Krynica to teren jedyny dla podjęcia racjonalnie ujętej inicjatywy—to prawdziwa krynica, która za uczciwą pracę i wysłkę odpłaci złotem i wdzięcznością bez granic.

Stworzenie na terenie tutejszym zdrowej, normalnej konkurencji, opartej na uczciwym handlu wymiennym, na daniu ludziom za ich pieniądze maximum wygód i kultury, stać się musi błogosławieństwem, które nie przejdzie bez echa.

Sprawa postawienia hotelarstwa na odpowiednim poziomie jest w Krynicy sprawą palącą. Czynnikiem



Koronki łąkowe, wyrabiane w okolicach Krynicy (okrągły motyw)

pomocniczym dla każdego, kto stanie do pracy, jest sezon, trwający jak rok okrągły.

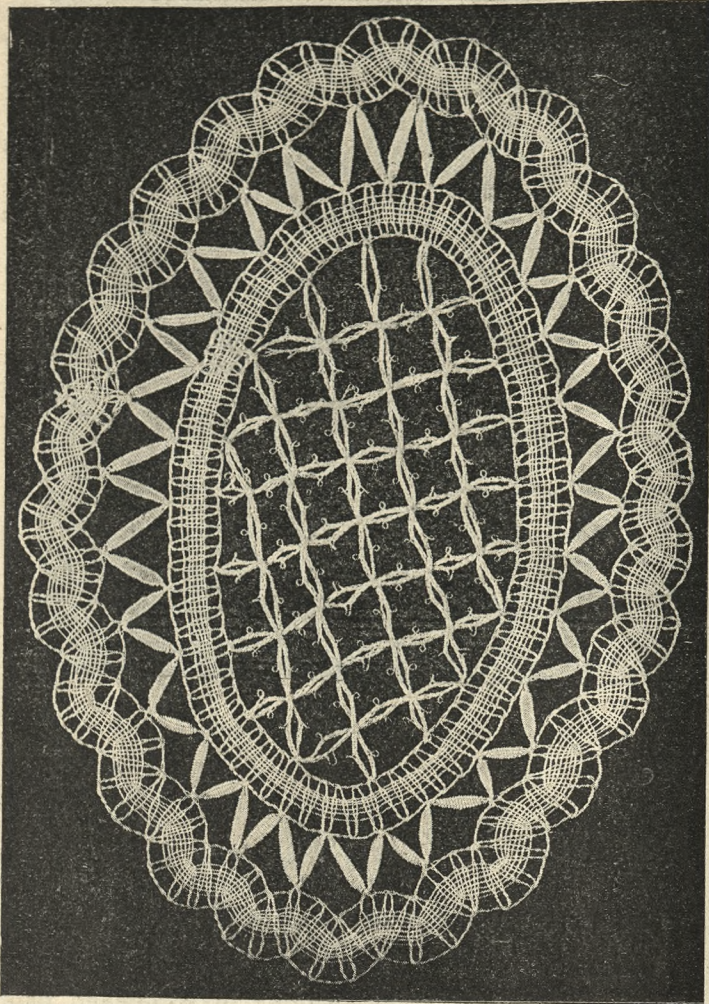
Z chwilą, gdy szerokie warstwy społeczeństwa zechcą wreszcie skończyć z przeświadczeniem, do którego przyzwyczajają się zaczynamy, że zadowolenie się byle czem należy po części do naszych obowiązków społeczno-narodowych, paląca sprawa zwalczania abnegacji i połowicznej pracy zostanie zlikwidowana ostatecznie.

Gdyby mi danem było zabierać głos doradcy nietylko w sprawie rozwoju Krynicy, ale i wszelkich innych naszych Uzdrowisk i Kąpielisk, nawoływałabym przedewszystkiem do paraliżowania miernoty, tak w dziedzinie hotelarstwa, jak i gastronomicznej. Wszystkie nowo-powstające zakłady muszą już dzisiaj stać na poziomie higieny, kultury i estetyki, od tego zależy normalny rozwój wszystkich naszych stacyj klimatycznych i uzdrowisk, a Krynicy, powołanej do odegrania najważniejszej roli, do rozślawienia naszego imienia poza granicami kraju — w pierwszym rzędzie.

Czyżby stworzenie u nas warunków normalnych i odpowiadających dwudziestemu wiekowi natrafiało rzeczywiście na poważne przeszkody?

Tutaj, w Krynicy, którą odwiedzają rok rocznie dziesiątki tysięcy kuracjuszy, każdy, kto stanie do pracy, ma zapewnione nietylko dziś, ale i dalekie jutro; Jeżeli nie dokonamy tego sami i własnym kapitałem, bliska jest chwila, kiedy kapitał i inicjatywa obca rozdzieli między sobą to złote jabłko, a przyznać trzeba, że wówczas nie pozostanie nam nic, nad gorzki posmak ironicznego przysłowia: „mądry polak po szkodzi“.

Na pierwszy plan wysuwa się potrzeba, konieczność prawie, założenia wzorowej—w całym tego słowa znaczeniu—jadłodajni. Urządzona komfortowo, prowadzona fachowo, uwzględniająca kuchnię prawdziwie dietetyczną, stanie się wkrótce źródłem błogosławieństwa, tak dla chorych, jak zdrowych, i wzorem, który wyjaskrawi paniom, prowadzącym pensjonaty, konieczność dążenia wzwyż, a równocześnie uniezależni ku-



Koronki kłockowe, wyrabiane w okolicach Krynicy (motyw owalny)

racjuszy od wątpliwych i szkodliwych tłuszczów restauracji zakładowej.

Jednym z krynickich niedoborów jest też brak dobrze i pomysłowo zaopatrzonych sklepów. Szczególniej w dziedzinie upominków, przez każdego tak chętnie przywożonych z podróży, daje się wyczuć podstawowe niezrozumienie i zaniedbanie placówki, która mogłaby przynieść poważne zyski. Jedynie ładne i warte kupienia są koronki kłockowe, wykonane starannie rękami miejscowych wieśniaczek, a skupywane masowo i dowożone do Krynicy przez osoby trudniące się specjalnie odsprzedają takowych. Koronki te trwałe, ładne i stosunkowo bardzo tanie, nadają się specjalnie do bielizny stołowej i pościelowej, a jako wyrób krajowy i artystyczny godne są jaknajszerszego rozpowszechnienia.

W gronie kuracjuszy, którzy doświadczyli na sobie zbawienne skutki kuracji krynickiej z jednej strony, a z drugiej—stali się ofiarami wszelkich miejscowych niedoborów, powstała godna poklasku idea zgromadzenia drogą udziałów poważnego kapitału zakładowego, celem wybudowania w Krynicy hotelu i pensjonatu postawionego na stopie zachodnio-europejskiej. Wśród gawęd, jakie tu snujemy o szarej godzinie, plany te przyjęły kształt realny, zapoczątkowany czternastoma podpisami, składającymi się na sumę 140.000 zł. Przewidywany dwumiljonowy kapitał, łącznie z pożyczką budowlaną, pozwoliłby wnieść

gmach komfortowy i urządzić go odpowiednio. Czy jednak zapał, jakim podnieta jest odzyskana tutaj werwa, energia i twórcza radość życia, nie przysnie zbyt prędko, a zaprojektowany czyn—zębatałem kołem codziennej udreki, do której nam wracać pora—nie zostanie poszarpany na strzępy, zanim kształt realny przyjąć zdoła?

Okolice Krynicy, malownicze i pełne cudownych widoków, dostarczają pola do wycieczek pieszych i końmi. W tej chwili, kiedy drogi pozostawiają jeszcze wiele do życzenia, jednym z najbardziej uczęszczanych jest szlak, prowadzący na górę Kopciową, gdzie strudzonych wędrowców czeka niespodzianka prawdziwa. Oto wśród niebotycznego boru jodłowego przysiadła niewielka leśniczówka, która swe gościnne podwoje chętnie zgłodniałej rzeszy otwiera. Nastroj przemily. Prysmaki, składające się na menu podwieczorkowe, spożywamy w zacisznym, ładnie urządzonym, pokoju, gdzie miękkie, narzucone makatami, kanapy dają wypoczynek strudżonym, a wysmienita, wońna kawa ze śmietanką, masło, miód, pieczywo i ciasto domowego wypieku dodają sił do powrotnego spaceru. Otoczenie swojskie i zaciszne, ani trochę kawiarnianego nastroju. Łby dzików, olbrzymie, rozłożyste rogi jelenie, przystrajające ściany, pianino, mnóstwo nut, dobra książka, której nigdy nie brak na maleńkiem biurczku, stojącym w świetle okna, na las wychodzącego, uprzejmość pani domu i jej córki, pozostawiają niezatarte wrażenie.

Bliskim jest dzień, kiedy cudowne, ciche i stworzone dla ukojenia zszarpanych życiem nerwów, ustroju nie zapełni się ludźmi po brzegi. Sezon letni—to prawdziwa wędrówka narodów, udreka, na którą składają się: wieczny, niezaspokojony głód mieszkaniowy, trudność zdobycia kąpieli i cała gehenna walki o pierwszeństwo, zarysowująca się na każdym kroku.

Już dzisiaj Zarząd Domu Zdrojowego ogłosił w pismach, że po dzień 1-go września nie dysponuje ani jednym wolnym pokojem, a wyznawcy sezonu zimowego, wyjeżdżając, zamawiają i zadatkują pokoje na rok przyszedły.

Kto chce w Krynicy prawdziwie odpocząć, leczć się spokojnie i wygodnie, powinien unikać sezonów letnich—jesień, zima mroźna i śnieżna, wczesna wiosna, to w Krynicy raj prawdziwy: każda z tych pór roku obfituje tutaj w swoisty urok i przyciągającą siłę.

Wanda Dobrzańska.

KAŻDA PANI DOMU POWINNA NABYĆ
KSIĄŻKĘ

p. t.

„OSZCZĘDNA
GOSPODYNI“

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „Zycia Praktycznego“, Warszawa,
Krakowskie Przedmieście 99, po otrzymaniu należności prze-
kazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

ZMYŚL ORGANIZACYJNY W GOSPODARSTWIE KUCHENNEM

Młoda gosposię, nowicjuszkę w gospodarstwie, bawi zestawianie wykwintnych jadłospisów, cały dowcip wkłada w dysponowanie zawsze jednakowo obfitych obiadów, obawiając się uchybić opinii dobrej gospodyni zmniejszeniem ilości potraw, z których składają się codzienne posiłki, lub zmianą ze wspianalszych na skromniejsze. Powoli doświadczenie doprowadza ją do innych wniosków i uczy dostosowywać wydatki do okoliczności. Inteligentna pani domu niekoniecznie wydaje wciąż jednego dnia całą sumę, na którą jej budżet pozwala, ale zawsze stara się mieć jakiś pieniądź w zapasie, aby było z czego dołożyć w nadzwyczajnych okolicznościach. W przeddzień większego zebrania, imienin, lub innej uroczystości rodzinnej, zrozumie, że nie na czasie jest obfity i kosztowny obiad; wszyscy bowiem domowi, przejęci jutrzejszą uroczystością, nie docenią, a może nawet i nie zważą doskonałości pracowitych dań.

Tak samo podczas upragnionych wiosennych wycieczek i majówek, kiedy pełna zdrowego apetytu młodzież połknęłaby „wilka z pazurami“, nie warto silić się na wyszukane przysmaki, byle czysto, zdrowo i obficie, ilość bowiem jest tu najważniejszym czynnikiem, wesołość, swoboda, śmiech, dopełnią najskromniejszego posiłku. Przeciwnie, w słotny, nieskończenie długi, nudny dzień świąteczny, trzeba przyłożyć więcej starania do wyboru dań i nakrycia, aby minorowo usposobione humory i żołądki ziewających współbiedniaków obudzić, ich apetyt zaciekawić potrawami, smacznie przyrządzonymi, podanymi elegancko dla oka, a pociągająco dla podniebienia. W chwilach smutku i przygnębienia specjalną uwagę poświęcić trzeba zestawieniu „menu“, przygotowaniu i podaniu potraw.

Niezaprzeczalnym jest, że u ludzi najskromniejszych, najwstrzemięźliwszych z pozoru, łakomstwo drzemie tylko, a smaczny kęs cieszy się zawsze urokiem. W rodzinie, w której ojciec pracuje na utrzymanie wszystkich, słusznym jest robić dla niego „osóbki“, podawać mu lepszy, kosztowniejszy posiłek, specjalnym otoczyć staraniem jego wyczerpany organizm, dzieciom i domownikom wystarczą zdrowe, posilne, ale oszczędniejsze potrawy. Taki zwyczaj prędko się utrzyma i da możliwość—bez rujnującego obciążenia budżetu—dogodzić chlebodawcy całej rodziny. Oszczędności pani domu, a zdrowia biesiadnikom przyczyni sprytne ułożenie jadłospisu obiadowego. I tak: jeżeli po zupie podamy jarzyny przed mięsem, napewno zostanie nam spory kawałek tegoż na kolację, kiedy, przeciwnie, dane na pierwszy ogień, nietylko będzie całe skonsumowane, ale jarzyny, zaledwie ruszone, zejda bezużytecznie ze stołu. Przekąski również nie są tak kosztowne, jak się to zwykle mówi, jedzone ze sporą porcją chleba, nasycają pierwszy głód i stanowią zabezpieczenie dla pieczystego, a tem samem i dla kolacji.

Interesująca się kuchnią, a obdarzona trochę uprzejmości z natury i dobrego wychowania, pani domu prędko poznaje gusta swoich stołowników, stopień ich apetytów i wytrzymałość ich żołądków. Liczy się z temi warunkami przy układaniu obiadów i rozdzielaniu potraw: synkowi, który „pożera“, cokolwiekby mu

dano, nakłada obfite porcje, córeczce „zawsze nie głodnej“, daje delikatniejsze kawałki i stara się utrzymać swoją rozwagą wszystkich w dobrem zdrowiu. Umysły powierzchowne, albo przemądzałe, z pogardą i lekceważeniem odnosić się będą do tego rozsądnego, przewidującego postępowania, zwać je „meskinerją, ale prawdziwie rozumna kobieta, oddana swoim żona i matka, szybko zorientuje się, jaka siła tkwi w tych niby drobiazgach, jakie ulepszenia może przez nie wprowadzić do organizacji swego ogniska domowego, aby utrzymać rodzinę w zdrowiu, a co zatem idzie, w drogocennej równowadze usposobienia i humoru.

J. S.



GASTRONOMJA I GASTROTECHNIKA

Taką nazwę daje sztuce i nauce gotowania profesor Edward Pomian, z Instytutu Pasteurowskiego, profesor w Instytucie Higieny spożywczej. Gdy gotowanie jest sztuką, wbrew oburzeniu ascetów, uważających łakomstwo za grzech ciężki. I sztuką bardzo starą, starszą, niż malarstwo i muzyka. Jeżeli określimy sztukę, jako coś, co podnosi nasz umysł ponad rzeczywistość, to jednak sztuka nie może istnieć bez rzeczywistości, którą odczuwamy naszymi zmysłami. Należy, więc, sztukę określić inaczej, twierdząc, że sztuką jest to wszystko, co kształci nasze zmysły, co je usubtelnia. Człowiek o zmysłach bardziej wydelikacowanych, bardziej usubtelnionych, tłumaczy swoje wrażenia w sposób bardziej doskonały, niż jego otoczenie—staje się artystą. Malarz nauczył się patrzeć, zanim farby ożyły na jego płótnach, muzyk długo musiał słuchać, zanim zabrzmiały jego czarodziejskie akordy. Malarstwo i rzeźba są sztuką, gdyż kształcą i wyrabiają zmysł wzroku, muzyka jest sztuką, gdyż działa bezpośrednio na naszą duszę i zmysł słuchu. Powiedzmy więc sobie, że gotowanie jest też sztuką, gdyż działa na naszą psychikę, kształcąc nasze zmysły: smaku, powonienia, a nawet i wzroku. Gotowanie, posunięte do stopnia sztuki, nazwijmy gastronomją.

Gastronomja jest niezaprzeczalnie najstarszą sztuką, która działa nietylko na naszą psychikę, lecz i na nasze funkcje fizjologiczne przez odżywianie. Człowiek pierwotny, który jeszcze myśleć nie umiał, już się odżywił, jak inne zwierzęta. Gdy mu się udało zdobyć ogień—ogień, dotąd zazdrośnie strzeżony przez niebiosa—zaczął gotować potrawy. Dużo wcześniej, nim zaczął nieumiejętnymi rękami ozdabiać ściany swej jaskini, kreśląc na nich obrazy zwierząt i ptaków,—już odczuwał całą gamę uczuć rozkosznych—rozkoszy powonienia i wzroku na widok rumieniących się przy ognisku ćwierci zwierzyny, smaku—przy ich spożywaniu. Wszędzie w historii cywilizacji spotykamy prawdziwy kult kucharstwa. Ludzie jedli dawniej—jak zresztą i dzisiaj—przy każdym obchodzie rodzinnym, krajowym, religijnym. W starych księgach, Vedy, w dniu zaślubin mąż przemawia w te słowa do żony: „Przez związek pożywienia, przez nić życia, której węzłem jest prawda, wiąże twe serce i twój rozum.

Twoje serce będzie moim sercem, moje serce będzie twoim sercem". Pożywienie jest związkiem życia, tym związkiem wiąże ciebie. „Sztuka budownictwa jest bardzo stara, również stare są malarstwo i rzeźba, lecz sztuka kucharska jest od nich dużo starsza jeszcze. Muzyka, przynajmniej taka, jaką dzisiaj rozumiemy, jest dużo młodsza. Dopiero w trzynastym wieku zaczęto mówić o akordzie, a Zarlino, którego zwa ojcem harmonji, żył w końcu szesnastego wieku.

Architektury i malarstwa, rzeźby i muzyki można się uczyć, jednak, ten tylko staje się artystą, kto ma odpowiednie zdolności; nauka daje podstawy, człowiek indywidualnie je rozwija.

Gastronomia dotąd nie miała ściśle naukowej podstawy. Właściwie się nią nie zajmowano, nie brano jej na serjo, nie analizowano. Od wieków kobiety zajmowały się kuchnią, korzystając z latami nabytego doświadczenia swoich matek i babek, nie było w niej wielkich zmian. Ponieważ dotąd przeważnie tylko zapomocą imitowania, prawie bezmyślnego, uczono się przygotowywać pokarmy, nauka kucharza - artysty trwała, nieraz, dużo dłużej, niż nauka przyszłego lekarza, astronoma, malarza, lub architekta, — a i po najdłuższej nauce, tylko najzdolniejsi dochodzili do artystyzmu, inni pozostawali przeciętnymi rzemieślnikami. Otóż, profesor Pomian twierdzi, że wszystkie, tak liczne prace i zabiegi kucharskie, dadzą się sprowadzić do kilku podstawowych zasad fizyki i chemji stosowanej. Te zasady można zgrupować, podzielić i utworzyć z nich podstawę naukową gastronomji. Proponuje on dla tej nauki nazwę „Gastrotechniki“. Nazwa się przyjęła odrazu i gastrotechnikę zaczęto wykładać w szeregu zakładów naukowych. Pierwsze zasady łatwo było ustalić, lecz przy udoskonaleniu dalszej nauki wszystkiego trzeba było szukać, robić liczne eksperymenty. Należało przestudjować chemicznie i fizycznie zmiany, jakie gotowanie wprowadza do składu produktów. Profesor się przyznaje, że zaczął od studjowania fizyko-chemicznego sosów i już rok cały poświęcił tej pracy. Niezaprzeczenie, jednak, gastrotechnika upraszcza znacznie naukę gotowania. Ażeby zrozumieć, co się dzieje z produktami w ciągu ich gotowania, należy je, przedewszystkiem, rozklasyfikować. Najłuszniej będzie zastować klasyfikację fizjologów:

- Albuminaty, (mięso, jaja, ryby i t. p.)
- Węglowodany, (krochmal, cukier i t. p.)
- Tłuszcze, (roślinne i zwierzęce).
- Sole mineralne.
- Witaminy.

Łatwo jest wytłumaczyć, że pod wpływem gorąca białko się ściąga, pod wpływem wody krochmal się staje klajstrem, cukier się karmelizuje, tłuszcze się topią. Dwie lekcje z pokazami starczą, aby nauczyć najbardziej tępe osobniki. Wobec tego, można wszelkie czynności techniczno-kulinarne sprowadzić do sześciu podstaw zasadniczych gotowania i przyrządzania;

- 1) Gotowanie (w płynie przy 100°);
- 1) Smażenie (w tłuszczu przy 130° do 200°);
- 3) Pieczenie (w suchym gorącu);
- 4) Duszenie (gotowanie na parze);
- 5) Zgęszczanie zapomocą krochmalu (zaprażka);
- 6) Zgęszczanie zapomocą jaj (emulsja tłuszczu).

Wykonanie najbardziej skomplikowanych dań jest zawsze stosowaniem jednej z tych czynności, jedną ze zmian fizycznych, czy chemicznych, które zachodzą w produktach przez nas przygotowywanych.

Dalej, profesor podaje parę przykładów:

1) Gotowanie produktu w wodzie jest zmianianiem jego składu chemicznego i fizycznego, przez zanurzenie w wodzie, doprowadzonej mniej, lub więcej prędko do zagotowania. Dopóki woda jest letnia, dopóty powierzchnia białkowa produktu nie jest ścięta, i pomiędzy produktem, a otaczającą go wodą, zachodzi wymiana składników. Jeśli to dla nas jest pożądanem, należy możliwie wstrzymać chwilę zagotowania i płyn ogrzewać jaknajwolniej. Jeżeli w produkcie chcemy zachować wszystkie jego soki, zanurzamy go w płynie wrzącym.

2) Smażenie odbywa się w tłuszczu, nagrzanym od 130° do 200°. Jest to sposób prędki i zachowujący soki produktu, który powinien mieć powierzchnię suchą, lub pokrytą warstwą suchej mąki, bułki i t. p.

3) Pieczenie jest tą samą czynnością, wykonaną na sucho w wysokiej temperaturze pieca, lub rusztu. Ma na celu zachowanie wszystkich soków przez momentalne ścięcie białka i utworzenie powłoki nieprzepuszczalnej.

4) Duszenie na parze, w naczyniu zakrytem, odbywa się przeważnie po osmażeniu, zrumienieniu pierwotnym produktu. Przy duszeniu, trwającym nieraz godzinami, produkt wypuszcza część swoich soków, które formują sos, i staje się sam łatwo strawnym.

5) Zgęszczenie zapomocą krochmalu: typowem dla niego jest robienie zasmażki, lub zaprażki, składającej się z zasmażonej mąki i tłuszczu.

6) Zgęszczenia zapomocą jaj—żółtek używamy do zaciągania zup, sosów, płynu na lody. Oprócz tego, żółtko, w połączeniu z tłuszczami, rozkłada, emulsjonuje te tłuszcze, jak przy sosie majonezowym i t. p.

Jest to metoda, której używa profesor Pomian przy swoich wykładach sztuki gotowania. Po czterech lekcjach teoretycznych, uczniowie w czasie nich muszą wykonać nie mniej, jak 250 dań, przy których stosują nabyte wiadomości chemiczne i fizyczne i wszystkie sześć, wyżej wymienionych, sposobów traktowania produktów. Rezultaty takiej uproszczonej nauki, podobno, są świetne. U nas, gdzie jeszcze ciągle tylko się mówi o wykładach kucharstwa dla kobiet z inteligencji, może byłoby wskazaniem porozumieć się z profesorem Pomianem, który napewno wydał już jakiś podręcznik, chociażby sprowadzić skrypta jego wykładów, i popробować zastosować jego metodę nauczania. Nasze kobiety nie są mniej od francuzek inteligentne i napewno równie prędko, jak one, przyswoiłyby sumę wiadomości, dostateczną, aby móc dalej same zajmować się praktycznie i zrobić z gotowania prawdziwą sztukę.

Pani Elżbieta.





SZPEKUCHY

Najlepsze są ze słoninki od szynki gotowanej, lub pieczonej. Wyborne, jako paszteciki do zupy szczawiowej i do barszczu, mogą służyć też, jako przekąska do wódki. Pół kilo mąki rozczynić dwoma deka drożdży, rozpuszczonych w mleku, lub letniej wodzie i półtora szklanką mleka letniego, lub wody, wsypać małą łyżeczkę soli, przykryć serwetą, dać podrosnąć. Gdy dobrze ruszy, wsypać drugie pół kilo mąki, dodać łyżkę surowego masła i dwa jaja całe, wyrabiać tak długo, aż zupełnie od rąk odstanie, dać podrosnąć poraz drugi. Tymczasem przygotować farsz następujący: Pół kilo cebuli pokrajać drobno i udusić w łyżce szmalcu, uważając, aby się nie zarumieniła, opieprzyć, posolić, zmieszać z siedemdziesięciu pięciu deka słoniny od szynki, lub gotowanego, wędzonego, tłustego boczku, pokrajanego w drobną kostkę. Brać po kawałku ciasta, rozplaszczyc, nałożyć łyżką słoninki, zawijać mocno, formować długie, zgrabne, nieduże pierożki, ułożyć na blachy, postawić w ciepłe. Gdy dobrze podrosną posmarować żółtkiem i upiec jak zwykłe bułeczki drożdżowe.

Można też zamiast małych pierożków zrobić jedną dużą strudelę, rozwałkując cienko ciasto, pokrywając farszem, zawijając jak strudel. Należy dobrze połączyć i zacisnąć brzegi, aby słonina nie wypłynęła. Gdy podrosnie, posmarować żółtkiem i upiec. Z tej porcji będą trzy spore strudle.

RAVIOLI WŁOSKIE

W sezonie szpinaku każde urozmaicenie potraw zeń przyrządzanych jest pożądane. Kilo szpinaku przebranego rzucić na osoloną, wrzącą wodę, zagotować raz tylko, odlać na durszlak. Posiekać jaknajdrobniej, lub też przepuścić przez maszynkę. W rondelku zasmażyć łyżkę masła, włożyć doń szpinak, podduścić, zaprawić łyżką mąki, osolic, —kto lubi, może dodać odrobinę białego pieprzu.

Ostudzić tę masę, która powinna być gęsta. Z żółtka, mąki, wody i odrobiny soli zrobić ciasto, jak na zwykłe pierogi, rozwałkować jaknajcieniej, krajać na równe kwadraciki, kłaść na każdy łyżeczką od kawy masę szpinakową, zawijać, jak ukośne chusteczki, zaciskać mocno, aby nie wypłynęło.

Rawioli powinny być bardzo małe. Gdy wszystkie gotowe, wrzucić na osolony wrzątek, pokryć pokrywą; gdy wypłyną na wierzch, wyjąć durszlakową łyżką na półmisek, polać masłem, zrumienionem z bułeczka, posypać ostrym serem i gorące podać. Jeszcze smaczniejsze są ravioli, jeżeli je ułożymy po kilka, lub kilkanaście do muszelek, lub tygielków, polejemy masłem z bułeczką, osypimy grubo ostrym serem i wstawimy na minut dziesięć pod blachę, aby się ser rozpuścił i uformował skorupkę.

Poni Elżbieta.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu“ będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowem. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3, według poniższego wyliczenia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej:

„Mój Krem“	6 zł.
Mój Puder higieniczny we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretka na łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampun higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowo	3 „ 50 gr.
Perełki do kąpieli przemiennych	5 „
Perełki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

Prenumeratorki „Bluszczu“, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości. Co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czy są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdwiają się na końcach? Poza tem subiektywne uczucie pieczenia, swędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Do Szanownych Prenumeratorek „Bluszczu“. Przy pisaniu listów i zapytań z dziedziny kosmetyki, proszę o łaskawe uwzględnienie następujących pytań: czy przechodziła kiedy Sz. P. poważniejsze choroby i jakie, obecny stan zdrowia? W sprawie dolegliwości z zakresu cery, opisać obszernie, czy charakter cery jest suchy, czy tłusty, jaka jest używana woda i jakie mydło, jaka wrażliwość skóry? Czy była przeprowadzana jaka kuracja i z jakim rezultatem. Co do włosów: jaki charakter? tłusty, suchy, cienki, gruby; łupież, ew. swędzenie głowy; czy były leczone i z jakim rezultatem; jak często włosy są myte, i co używa się do mycia? Zaznaczam wyraźnie, że nie ordynuję na odległość, ani też nie leczę, natomiast udzielić porady mogę jedynie ogólnej higieniczno-kosmetycznej natury. Proszę o wypełnianie bardzo wyraźne adresów, gdyż z tego powodu często odpowiedź nie może być udzielona.

Ogólna odpowiedź na pocenie się. Wydzielanie potu może być zamałe, lub za silne.

Nadmierne pocenie spotykamy przy gruźlicy, u neurasteników, u osób wyczerpanych, które uległy wstrząsowi nerwowemu, i u osób otyłych.

Pocenie może być albo ogólne, albo lokalne.

Jakie przyczyny wywołują to nadmierne pocenie się—także niewiadomo.

Pocenie się może być bardzo przykre, o ile jest przytem cuchnące, zwłaszcza pocenie się nóg. Jest to jedno z najprzykrzejszych niedomagań ludzkiego organizmu. Należy koniecznie często moczyć nogi w gorącej wodzie z formaliną.

Pocenie się pod pachami jest również przykre. Nie należy nosić potników, gdyż jest to bardzo niehigieniczne i nieestetyczne, natomiast myć często wodą z dodaniem wody kolońskiej i zapudrowywać pudrem.

O ile środki, wyżej wymienione, okażą się bezskuteczne, skierować się należy do lekarza specjalisty.

Wiśnia. Jeśli włosy, na które była stosowana diatermia, odrastają, należy zastosować jeszcze jeden zabieg, co nie przysporzy żadnych kosztów, gdyż honorarium zostało uiszczone przy pierwszych zabiegach.

Czytelniczce Zofji. Radzę używać pudry krajowe, które są o wiele higieniczniejsze, niż pudry zagraniczne. Gęsia skórka (liszaj mieszkowaty), są to drobne guzki, występujące na zewnętrznej powierzchni rąk i nóg, nie zaraźliwe i nie dające przykrych objawów swędzenia i pieczenia (dla zdrowia zupełnie nieszkodliwe). Natomiast są bardzo nieestetyczne i nieprzyjemne w dotyku. Leczenie: stosować należy częste kąpiele gorące z solami aromatycznymi, do kąpieli używać zamiast mydła stałego, mydło płynne (spirt, saponatus kalini) i szorować ostrą szcztoteczką. Po kąpieli konieczne natłuścić olejkami różanym—środek tańszy, lub „Moim Kremem“ do rąk—środek droższy. W razie zadawnionych, lub uporczywych wypadków, środki złuszczone. Leczenie środkami złuszcżającymi należy tylko prowadzić pod kierownictwem lekarza.

Ogólna odpowiedź na pielęgnację biustu. Zanik pięknego biustu daje się powszechnie zaobserwować, kształt i wielkość biustu ma ogromne znaczenie w urodzie kobiecej. Biust może być za duży i za mały, asymetryczny, najczęściej prawa pierś większa od lewej. Biust piękny powinien być nieduży i jędrny. Żadne środki wewnętrzne nie wpływają na kształt, ani też na wielkość i jędrność biustu. Jedynie masaż odpowiednio wykonany, daje dobre rezultaty. Masaż powinien być stosowany przez dłuższy okres czasu. O ile zachodzi różnica wielkości biustu, to masaż może poprawić ową różnicę, ale idealnie nie wyrównuje. Masażu biustu można się nauczyć samej, nie jest trudny, nie wymaga dużo siły, jedynie systematyczności i cierpliwości. Wszelkie reklamowane środki, kremy, pigułki, o ile nie są szkodliwe, pomóc absolutnie nie mogą. Obecnie we Francji przy pielęgnowaniu biustu, prócz masażu i gimnastyki, używa się natrysków wodnych—specjalnym przyrządem 2 razy dziennie po półtorej minuty wodą pokojową, z dodatkiem perełek alkalicznych. Natryskuje się obie piersi osobno. Następnie wyciera się do sucha bardzo szybko. Zabieg ten mogą stosować kobiety zdrowe i zahartowane. W Polsce kultura ciała obecnie jeszcze stoi tak nisko, że specjalnych przyrządów do pielęgnacji biustu niema. Narazie można go zastąpić zwyčajnym rozpylaczem.

Norma. Pielęgnacja nóg: odpowiedź ogólna.

Hania. Bardzo się cieszę, że cera Pani po zastosowaniu leczenia tak dobrze się poprawiła. Co się tyczy zaburzeń miesiączkowych, konieczne należy udać się do lekarki ginekologa. Objawy nerwowe mogą być również na tle choroby kobiecej.

Norma. Kształt nóg najbardziej wyrabia się gimnastyką i masażem. Pierwszym warunkiem, wpływającym na estetykę—jest wygodne obuwie. Dobrze jest moczyć nogi w soli dla zeszczuplenia łydek i na noc bandażować specjalnymi opaskami. Obecnie nie są noszone wysokie buciki, które oddawały pod tym względem nieoczone usługi.

Janina i Zofja z Lublina. Tematy, poruszone przez Sz. Panię, są bardzo interesujące: odpowiedź należałoby dać zbyt obszernie. Wszystkie pytania uwzględnione są w książce „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“. Punkt Roller nigdy się nie da zastąpić ręcznym masażem. W następnym numerze uwzględnię odpowiedź.

Abonamentka Nr. 25. Wszelkie depilatory działają tylko chwilowo. Wyrwać włosów absolutnie nie wolno, gdyż odrastają jeszcze bujniej. Środek pewny i skuteczny jest to diatermia, lub elektroliza. Na jedno posiedzenie nie można usunąć więcej, jak 12 włosów.

Kryśka, Elka, Lilka i Czytelniczka z Krakowa. Przeczytać proszę pielęgnację włosów w dwutygodniku „Życie Praktyczne“, a Łojotok—w książce „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“, następnie proszę napisać o dalsze wskazówki.

Łojotok jest najczęstszą dolegliwością skóry. Rozróżniamy Łojotok silniejszego stopnia i słabszego. Przy Łojotoku silniejszego stopnia występują wągry i krosty, przy Łojotoku słabszego stopnia, rozszerzone pory, zatłuszczenia skóry i wągry. Stosownie do tego polecam na Łojotok silniejszego stopnia galaretkę Nr. 1, na Łojotok słabszego stopnia galaretkę Nr. 2, na wybielenie skóry, galaretkę Nr. 3. O Łojotoku obszerniejsze wskazówki podane są w książce „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“. Przy skórze szarej, zastować należy kąpiele przemienne 3 razy w tygodniu, perełkami mojem—20 perełek różowych na 1 litr gorącej wody. Okłady takie należy uskuteczniać od 5 gorących i zimnych do 10. Zależne to od jakości skóry. Na skórę cienką i delikatną, wrażliwą wystarczy 5, na skórę grubą, starą i niewrażliwą—10. Jest to sposób angielski, odmładzający i odświeżający, oraz nadwyzwyczajnie dobrze wygładza zmarszczki i przeciwdziała tworzeniu się takowych. Łojotok leczy się latami, cierpliwością pacjenta i lekarza. Masaż należy uskutecznić umiejętnie, albo wcale.

Łódź, Eugenja. Obrzęk nóg może mieć bardzo różne przyczyny. Określić bez zobaczenia i podać jakieś ogólne wskazówki jest niemożliwe. Przyczyna może być ogólnej natury: choroby serca, choroby nerek, jak również artretyzm, żyłaki i t. d. Jakknajszybciej należy udać się do lekarza chorób wewnętrznych, by cierpienia nie zaniedbać. *Dr. med. J. Świtalską.*

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczone w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

ABY MIEĆ WŁOSY PUSZYSTE I MODNIE UCZESANE NALEŻY NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ

p. t.

„Jak pielęgnować włosy“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

KAŻDY, KTO POSIADA CHOĆ KAWAŁEK ZIEMI, POWINIEN NABYĆ KSIĄŻKĘ P. T.

„MÓJ OGRÓDEK“

I część — kwiaty, II część — trawniki, róże inspekta, warzywa

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18